ROCZNIK VI.

TOM I.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

NR. 61.

STYCZEŃ

1910.

MIESIĘCZNIK

POD REDAKCYĄ

D[ra] FELIKSA KONECZNEGO.

KRAKÓW

REDAKCYA UL. PODZAMCZE 14.

ADMINISTRACYA GROBLE L. 15 (parter).

„Świat Słowiański“

miesięcznik poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego, wychodzi z początkiem każdego miesiąca w zeszytach 4—5 arkuszowych. — Prenumerata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi 10 K. (10 marek), kwartalnie 2 K. 50 hal. (2 M 50 f.) Cena jednego zeszytu 1 K. (1 M.). **Adres** redakcyi **Kraków, ulica Podzamcze 14.**

Administracya: Groble L. 15 (parter).

Skład główny na Lwów i Galicyę wschodnią w księgarni **H. Altenberga** we Lwowie.

W Warszawie skład główny w księgarni **Wendego i S-ki**. Prenumerata roczna 5 rb. 50 kop.

TREŚĆ Nru 61-go:

(Styczeń 1910). Str.

Świat Słowiański

MIESIĘCZNIK

poświęcony słowianoznawstwu i przeglądowi spraw słowiańskich ze stanowiska polskiego

POD REDAKCYĄ

Dra Feliksa Konecznego.

ROCZNIKA VI-go

TOM I-szy.

(Styczeń—Czerwiec 1910).

KRAKÓW 1910.
CZCIONKAMI DRUKARNI W. KORNECKIEGO I K. WOJNARA
pod zarządem Adolfa Nowaka.

Redakcya: Kraków, ul. Podzamcze 14.
Adminiftracya: Kraków, Groble 15.

TREŚĆ tomu I-go

Rocznika VI-go

(Styczeń—Czerwiec 1910).

SIŁA I SŁABOŚĆ AUSTRYI.

Nie można powiedzieć o Austryi, żeby była kolosem na glinianych nogach; słabość jej w czem innem: to korpus z nieswoją głową.

Korpus ten cierpi na nadmiar sił. Trzy wielkie kultury pracują w jego łonie i działają: romańska, germańska, słowiańska. Państwo jakby stworzone na ul, do którego znosiłyby miód pszczoły z całej Europy. Położenie geograficzne idealne, z odmian klimatu europejskiego same tylko dobre, płodów obfitość, a raczej wszechstronność zupełna, drogi handlowe pierwszorzędne na własnem terytoryum; słowem, państwo uprzywilejowane przez przyrodę ponad wszystkie inne.

Może nie dopisują mieszkańcy? Ludy tego państwa nie wszystkie może stoją na poziomie XX wieku, ale mają w sobie taki rozpęd kulturalny i pracują tak gorliwie, że mogłyby (gdyby miały ręce wolne) w ciągu jednego pokolenia dojść do wyników świetnych [1]), w ciągu pokoleń dwóch zadziwić świat [2]). Każdy z nich już dzisiaj może być czynnikiem poważnym, a nader korzystnym w pochodzie historycznym ku nowym szczeblom cywilizacyi i nowym źródłom dobrobytu.

Pracowitości i zapobiegliwości nikt im nie odmówi, ani też tej siły, żeby nie ustawać wśród przeciwieństw i w najcięższym znoju iść wciąż naprzód. Oto skazana przez Austryę na „Hinterland. Galicya pracuje nad swem wyzwoleniem ekonomicznem; opatrzona przez Austryę rzezią 1846-go roku wytworzyła patryotyczny stan włościański; onegdajsza Beocya polska stała się roz-

[1]) Żaden z ludów austryackich nie stoi tak nisko, jak Łotysze inflanccy przed 30-tu laty, którzy dziś zdumiewają podróżnych dobrobytem i oświatą (złożyły im się okoliczności tak szczęśliwie, że rząd rosyjski przez dłuższy czas nie krępował ich).

[2]) Czesi przed 50 laty — w samej nawet Pradze wstydzili się mówić po czesku. Byli i są jeszcze krępowani. Do jakichże byliby doszli wyników i co byliby już osiągnęli, gdyby byli mieli przez te 50 lat ręce wolne!

sadnikiem nauki i sztuki. Oto Czesi pozyskali szkolnictwo średnie w ten sposób, że zabrali się do zakładania szkół najpierw własnym kosztem; prywatną ofiarnością wznieśli nietylko wielki teatr pierwszorzędny, ale Akademię Umiejętności. Oni nawet spisy ludności sami sobie robią (nie mogąc dowierzać rządowym)! Przysłowiowe są ich składki narodowe; wszystko posiędą, bo na wszystko się złożą, choćby nie wiedzieć ile przeszkód stawiała im Austrya. Oto Słowieńcom nie daje się uniwersytetu; kosztem przynajmniej potrójnym kształcić muszą młodzież, a jednak nie brak im inteligencyi, a zorganizowani są tak, jak żaden inny naród i wysuwają się coraz bardziej na czoło państwa, zadając kłam zapatrywaniu, jakoby naród musiał być licznym, ażeby być silnym. Oto Słowacy żyją dziś jeszcze pod takim obuchem, jak my przed rokiem 1867; pozamykano im szkoły, pokonfiskowano fundacye, a oni wydają coraz więcej książek, mają coraz więcej pism, wykończają właśnie podwaliny organizacyi ekonomicznej i zaczynają mieć — prawdziwych polityków.

Spojrzmy jeszcze na południe monarchii. Uczono nas w szkole, że mieszkają tam następujące narody: Chorwaci, Sławońcy, Serbowie, Dalmatyńcy, Dubrowiczanie — i dalej Hercegowińcy i Bośniacy. Razem było narodów po austryacku siedm. Ileż pracy, ofiarnej a mozolnej pracy kulturalnej włożyć musieli nasi południowi pobratymcy w to, żeby ta liczba stajała z siedmiu na dwa! Stało się to w ciągu jednego pokolenia — a teraz postępuje ta praca zbożna, z cechą istotnej, dobroczynnej misyi dziejowej, jeszcze dalej, żeby był tylko jeden naród serbo-chorwacki. Jaką rolę odgrywała wobec tej pracy Austrya — i jeszcze odgrywa — wiadomo każdemu.

Księgi grube nie pomieszczą wszystkich dowodów niespożytej siły i zapobiegliwości ludów austryackich, — które wbrew Austryi, skazywane przez nią na zagładę — dały sobie radę. Warunki były tak ciężkie, walka tak nierówna, że już dotychczasowe jej wyniki nakazują przyznać tym ludom dziwnie wielki zapas sił, niesłychaną wytrwałość, cudowną twórczość. Tak jest! przedewszystkiem t w ó r c z o ś ć, ten przymiot przymiotów, tę dźwignię wszystkiego! Wszak te ludy same sobie wszystko wytworzyć musiały, ze strony rządów doznając samych tylko przeszkód.

Gdyby oznaczyć przeciętną ilość pracy, jaką wkłada w sprawę publiczną obywatel państw europejskich, przeciętna ta tyczyłaby się w Austryi tylko Niemca lub Madiara. Wszyscy inni wytwarzają dwa razy tyle, a może nawet trzy razy tyle. Zważmy bowiem, że trzeba nietylko dać państwu to, co każdy inny, ale nadto pracować drugie tyle, żeby wyręczyć państwo w tem, czego ono robić nie chce, choć powinno — i trzecie tyle, żeby zwalczać przeszkody stawiane tej pracy przez państwo.

Austryacka przeciętna jest tedy dwa do trzech razy większą od przeciętnej ogólno-europejskiej. Austrya choruje nie na brak sił, ale na ich nadmiar. Pod względem produkcyi sił kulturalnych, ekonomicznych i politycznych jest Austrya niewątpliwie pierwszem państwem na świecie.

Prosty z tego wniosek, że mogłaby być państwem naczelnem Europy, gdyby ta olbrzymia produkcya sił była rozumnie kierowana i zużytkowana... gdyby nią kierowały głowy znające się na właściwościach tego ciała i umiejące je wyzyskać na powszechny pożytek.

Kierują państwem Niemcy i Madiarzy, a więc przedstawiciele żywiołów odznaczających się najmniejszą produkcyą sił.

Północna Styrya przedstawia najsmutniejszy obraz degeneracyi, a północny Tyrol zbliża się do tego stanu. Niemiecka kraina wśród Słowieńców, uprzywilejowana geometryą wyborczą — to „die Kotschewer“, uważani przez słowieńskich sąsiadów za pół-idyotów. Lud Austryi Dolnej, Górnej, Salcburga odznacza się typową obojętnością na wszystko, co nie dotyczy bezpośrednich interesów jego podwórka, a lud niemiecki w krajach „mięszanych“ staje do walki ze Słowianami nie dla idei niemieckiej, ale z obawy zarobkowej konkurencyi Słowian. Pomimo to niemczyzna stoi w Austryi kulturalnie silnie, bo siła ta nie zależy od poziomu tej lub owej prowincyi, lecz od ogólnego poziomu kultury narodu niemieckiego. Niemcy austryaccy produkują największy procent inteligencyi zawodowej. Składa się na to dużo czynników, których działanie będzie trwało nadal — toteż kulturalna pozycya niemczyzny jest w Austryi zabezpieczona, choćby dolne warstwy ich społeczeństwa degenerowały się we wszystkich krainach niemieckiego zaludnienia. W najgorszym razie nastąpiłby przypływ sił z Rzeszy. Ale znaczniejszej siły politycznej ta liczna inteligencya niemiecka wytworzyć nie może, bo jest nazbyt odcięta od ludu; pod tym względem będą Niemcy

w coraz gorszem położeniu w czasach coraz bardziej demokratycznych. Ich siła polityczna byłaby (stosunkowo do wysokiego poziomu kultury warstw inteligentnych) nieznaczną, gdyby jej nie wzmacniano nadmiernie sztucznie. Wytwarza się przez to ułudę, która może się kiedyś pomścić na państwie, tem srożej, im bardziej bierze się tę ułudę za rzeczywistość. To pewna, że Niemcy już od dość dawna przestali być w Austryi czynnikiem politycznie twórczym, a jednak nią rządzą.

Bez porównania niżej od Niemców stoją Madiarzy, co do produkcyi sił. Tu już degeneracya ogarnęła nie pewne prowincye, ale cały naród, który zniknąłby zupełnie z rachub politycznych, gdyby nie był potrzebny widokom polityki pruskiej (dualizm) i pasorzytnictwu żydowskiemu, które dokazuje istotnie cudów na pniu madiarszczyzny. Bez madiaryzacyi nie wiele ostałoby się z Madiarów! Pozyskiwanie zaś obcych żywiołów dla swej narodowości jest objawem siły narodowej natenczas tylko, kiedy się to dzieje drogą naturalną, bez jakiegokolwiek gwałtu, bez użycia aparatu rządowego.

Madiarzy mają opinię dobrych polityków, bo od r. 1867 aż dotychczas postawili zawsze na swojem. Nie będę rozpatrywał pytania, ile w tem było madiarskiej twórczości politycznej własnej, ile zaś pomysłów berlińskich. To jeszcze kwestya, czy Madiarzy sami prowadzili swoją politykę, czy też byli narzędziem w ręku Prus. Mniejsza o to — faktem jest, że polityka ich była i jest antyaustryacką.

Rządzą więc monarchią żywioły najmniej produkujące sił społecznych i politycznych, z których jeden jest wrogim Austryi wogóle, drugi zaś (Niemcy) częściowo (stronnictwo prusofilskie).

Hegemonowie ci kierują Austryą z zamiarem szkodzenia żywiołom produktywniejszym od siebie. Rządzi się więc Austryą tak, ażeby zmniejszyć siły jej ludów i z wyraźnym tym zamiarem, częstokroć wcale nie tajonym. Wygląda to na paradoks, a jednak jest to faktem, że system rządów austryackich polega na szkodzeniu Austryi.

Wszystko, co koło nas się dzieje, świadczy, że Austryą nie można rządzić dalej po staremu, że tu trzeba tchnąć nowego ducha w rządy. Stare formy doprowadziliśmy już „szczęśliwie“ do absurdu w parlamencie i w sejmach; pracuje się już nad tem samem około sądownictwa, kolei żelaznych, poczt i t. p., aż wreszcie przyjdzie kolej na starostwa, policyę i żandarmeryę.

Austrya podobna jest do Rosyi w tem, że miewa nad sobą rządy wiodące do anarchii. Szczęście, że społeczeństwo zdrowe, samo stanowi najlepszą przeciwwagę.

Wszystko jest w Austryi przestarzałe, od ordynacyi gminnej i administracyi powiatu aż do kompetencyi parlamentu i podziału monarchii. Nie dlatego, żeby urządzenia te miały za sobą zbyt długi szereg lat (ten wzgląd nic nie stanowi), lecz przez to, że są niestosowne dla społeczeństwa, które takimi środkami nie może być dobrze rządzonem. Rząd musi być zastosowany do społeczeństwa, a nie odwrotnie.

Austrya trzyma się zaś dotychczas jeszcze macchiawelizmu, t. j. systemu przystosowywania społeczeństwa do rządu. Rządzący powiedzą sobie, jakiem ma być społeczeństwo, ułożą sobie szczegółowo, jakimi powinni być Polacy, a jakimi Rusini, Czesi, Chorwaci; obmyślą dla każdego żywiołu rolę, jaka byłaby dla rządu najwygodniejsza — i stosownie do tego potem obcinają, strzygą, cisną, okrawają, dusząc ludzi i ludy w formach sztucznych, cudacznych. Życie, niepowstrzymane pomimo wszystko, rozpiera je raz w raz, pękają wydymane przesztucznie retorty, robi się trzask, zamęt i szkoda. Kto winien? W systemie macchiawelistycznym rząd nigdy nie winien, bo według tej teoryi społeczeństwo winno się w swym własnym interesie przystosowywać do rządu.

Szuka się więc nowych majstrów, żeby zręczniej strzygli i okrawali wszystko, co sobie chce rość według natury. I tak dalej i coraz dalej, aż w końcu dochodzi się do tego, że kierunek najdonioślejszych spraw dostaje się ostatecznie w ręce sprytnych intrygantów, którzy wodzą na pasku i wyzyskują sterników państwa. System ów doprowadził w s z ę d z i e do takiego końca i Austrya nie stanowi wyjątku, jak wykazują procesy zagrzebski i Friedjunga.

Pleśnią okryte wytyczne rządów austryackich sprowadzają d l a r z ą d z ą c y c h raz wraz sytuacye bez wyjścia, w których nie umieją sobie radzić, a zaplątani we własne sieci, siłą się wykazać, że wina po stronie społeczeństwa. W ten sposób powstają procesy o zdradę główną.

Poglądy na istotę, ustrój i cele monarchii habsburskiej czerpie się z przeszłości, podczas gdy ludy austryackie dążą ku nowej przyszłości.

Stęchlizną starzyzny tchnie zapatrywanie, jakoby różnople-

mienność i wielojęzyczność Austryi stanowiły jej stronę ujemną. Rzecz ma się przeciwnie. To skarb największy tego państwa, to siła, która użyta rozumnie może postawić kiedyś Austryę na czele Europy. Dla rządzących — zapewne — jest to mniej wygodne, bo w takiem państwie, chcąc rządzić dobrze, trzeba być czemś więcej, niż tem, czem się urodziło, i wypada znać się na czemś więcej, niż na psach i koniach.

Ubolewają nad wielojęzycznością Austryi ci, którzy nie zdolni są pojąć wyższego porządku historycznego i sądzą, że nie można się obejść bez tego, żeby naród nie panował nad narodem. Trzy czwarte sił społecznych i politycznych marnuje się na to, żeby utrzymać hegemonię niemiecką i madiarską. Cel utopijny, wręcz śmieszny w naszych czasach, absolutnie nieziszczalny, próbuje się osięgać głównie dwoma środkami:

a) łamaniem ustaw i obchodzeniem ich przez same ministerstwa, a więc propagandą anarchii z góry;

b) stosowaniem zasady: d i v i d e e t i m p e r a, a więc osłabianiem sił społecznych i politycznych monarchii i powstrzymywaniem jej rozwoju.

Podsycanie niechęci między narodami, żeby je szczuć na siebie i zwaśnionymi „rządzić", to próba macchiawelizmu na największą skalę w historyi; musi przeto doprowadzić do największego też absurdu, jeżeli w czas zatrzymaną nie będzie. Polityka to godna ludzi niezdatnych, zabierających się do rządzenia głupcami. Kto zmądrzeje, przejrzy każdy! Na razie zaś system ten wprowadza na pierwsze plany ruchu politycznego ludzi, którzy przy rozumnym sposobie rządzenia pozostawiliby w spokoju i rządzonych i rządzących, bo nie mieliby nawet sposobności wyjść na arenę publiczną. Kto d i v i d e n d o chce i m p e r a r e, stanie się w końcu sam zależny od najmniej rozumnych i najmniej uczciwych.

Niema dla Austryi większego hamulca, jak owa zasada: d i v i d e e t i m p e r a!. Jeden tylko przykład:

Stronnictwo koalicyi serbo-chorwackiej jest jedynem, zdolnem poprowadzić Austryę na Bałkan; ponieważ atoli w programie jego jest jedność narodowa Chorwatów i Serbów, więc się je nęka, wytacza mu się procesy o zdradę stanu, a na przewodników pochodu na Bałkan bierze się... Nastića, Chlumetzkiego i całą szajkę indywiduów z pod ciemnej gwiazdy. Jakaż wartość p o l i t y c z n a protektorów owych indywiduów?!

Wielka polityka wymaga wielkoduszności, musi mieć ideę i wykonawców mających ideały. Austrya, chcąc nie chcąc, musi uprawiać wielką politykę, bo prą ją do tego okoliczności historyczne; ale jak dotychczas — uprawia ją za pomocą drobnych sztuczek „rządzenia“, vulgo intryg, które odczuwano od dawna, a które zdemaskowano w procesie Friedjunga. A jest aż nazbyt powodów do podejrzeń, że mutatis muntandis uprawia się „wielką“ politykę w podobny sposób nietylko w Chorwacyi.

Wyobraźmy sobie choć na chwilę, że stan Austryi zależałby wyłącznie od jej rządów: nastałyby z czasem stosunki rosyjskie, rozprzężenie państwa byłoby nieuniknionem. A jednak przeciwnie, niż Rosya — Austrya pomimo najfałszywszego kierunku rządów jest potęgą i to coraz potężniejszą. Zawdzięcza to swym ludom, tak silnym i zdrowym, że najgorsze rządy nie zdołają ich złamać i zdemoralizować. Błędy rządów naprawiają się z dołu. Ludy walczą z rządem, ale dbają o państwo, utrzymują je, pracują nad jego rozwojem i nie cofają się przed żadnemi ofiarami, gdy chodzi o państwo, jako takie. Nie wynika z tego oczywiście, żeby znosić dalej spaczone rządy. Obowiązkiem jest dążyć do obalenia macchiawelizmu, a zastosować ustrój Austryi i środki rządzenia nią do współżycia narodów, uznających wzajemnie swe idee narodowe i gwarantujących sobie nawzajem całą pełnię praw narodowych. Przeciwników tej idei musi się wyzuć z wpływów politycznych, a zwłaszcza zadać śmierć cywilną zwolennikom rządzenia za pomocą intryg, swarów i szachrajstw. Spóźnieni epigonowie Metternicha niechaj się udadzą na spoczynek, a na ich miejsce niechaj wstąpią ci, którzy przodują godnej podziwu pracy ludów Austryi!

Dążenia słowiańskie muszą wniknąć do rządów tą monarchią, muszą się stać w Austryi żywiołem rządowym. Wtenczas nastanie ekspanzya Austryi i olbrzymi rozwój jej potęgi, z czego ludność niemiecka odniesie korzyść większą, niż z przedłużania hegemonii, grożącej państwu osłabieniem.

Ludy ich i dążenia — to korpus Austryi, wymagający stosownej głowy. Dopóki rządy ciągną państwo w jedną stronę, a ludy w drugą, dopóty zaledwie cząstka tylko sił organizmu państwowego działać może pozytywnie. Głowa jest od tego, żeby kierowała organizmem stosownie do jego przyrodzenia, ale nie wbrew przyrodzeniu. Ponieważ rządy austryackie prowadzić zwykły walkę z przeznaczeniem Austryi, wygląda to, jakby była

głowa od innego korpusu i dlatego powiedziałem, że Austrya, to korpus z nieswoją głową.

Miejmy otuchę, że dzieło ks. Dra Kreka, pokonanie obstrukcyi przez reformę regulaminu w parlamencie, potrwa dłużej, niż rok i będzie początkiem ery bardziej konstytucyjnej, wykluczającej metternichowskie sztuczki i że stanie się każdemu jawnem, jak przestarzałym jest już i szkodliwym macchiawelizm w Austryi. Można się bez niego obejść doskonale, mając w ludach Austryi najlepszą podporę państwa.

W ludach tylko siła Austryi — w rządach przestarzałych jej słabość. Jeżeli się doczekamy na czele państwa rządu patrzącego nie w przeszłość, lecz w przyszłość, ludzi wielkodusznych, pojmujących ideę państwa habsburskiego, wysuniemy Austryę na pierwsze miejsce, uczynimy z niej jądro, około którego będzie się potem krystalizować nowy porządek w Europie. *F. K.*

LUDNOŚĆ PIERWOTNA CZTERECH KRAJÓW „CZYSTO-NIEMIECKICH“

(Austrya Dolna i Górna, Solnogród, Przedorlańsko).

W Dolnej Austryi naliczył Szembera [1]) na mapie katastralnej nie mniej jak 1000 nazw ziemio- i miejscopisnych niewątpliwie słowiańskiego pochodzenia. Lecz nie trzeba nawet powoływać na świadectwa uczonych badaczy. Wystarczy bowiem przytoczyć wiązankę nazw miejscowych, których słowiańskość nie jest do zaprzeczenia.

Oto nazwy miejscowe w Dolnej Austryi:

Anzka, Belgrad, Bosak, 4 Brama i Prama, 2 Dobra i 2 Tober, Dobrahuf, Dobersberg, Doberndorf i Tobersleiten, Dölln i Dolln, 11 Edla, 5 Edlitz, Jedlitzhausen i Jedlitzhof, Gera i Geras, Gloden, Golhof i Gollarn, Gurhof, Hradschin, Kaja, Kotschallings, Kraking, 2 Kulm, Krems miasto i rzeka, Krucken, Krumau (w Czeczach Krumlow-Krumau), Laas, Lasse, Litschau, Lug, Ostra, Pamath, Panholz, Pilsen, Plaika, Pölla, Polln i Pollendorf,

[1]) Zapadni Słowane. Wiedeń 1868.

Prerau Alt-, Pustka, Radessen, Radischen, Raking, Rornegg, Simmering i Semering, Sidlosberg, 2 Soos, Triglas, Swentendorf, Zauch i t. d. i t. d.

Dodać należy, iż nazw miejscowych z końcówką — itz, niezawodnie słowiańskiego pochodzenia, jest przeszło 100, zaś nazw złożonych z wyrazem las i les 59 a nazw z wyrazem Wend, Wind, Wim, Windisch — co oznacza słowiańskość miejscowości — około 100.

Znaczna większość nazw pierwotnych osad słowiańskich albo poprawnie brzmi po niemiecku, lecz niedorzecznie, lub też nazwy są szkaradnie wykoszlawione, których słowiańskość odszukać można tylko przy pomocy kodeksu dyplomatycznego. Bez tej pomocy niepodobna odgadnąć, iż wieś Rotkweinsdorf; to pierwotnie słowiańska osada Radwan [1]). Rzeka Frenz na granicy Styryi zwała się w r. 1074 Frodnice, co jasno wskazuje na Brodnicę, potok zaś Fladnitz nosił w r. 1068 nazwę Flaidnize a potok Förschnitz w 1103 nazwę „amnus Froscnice", z czego dr. R. Müller [2]) słusznie wyprowadza przy pierwszym nazwę Błotnicy, przy drugim Brzeźnicy, Paltbach był w r. 1108 rivas Palta, co pochodzi także z blato, błoto, zwłaszcaa iż rzeczywiście jest blotnisty. W nazwie miejscowej Lieben (w r. 998 Liupna) jest ukryta Liubna a w Eibenstein (w r. 1123 Iwanestate) tkwi słowiański pierwiastek iwa = wierzba, tak jak znowu Meissau w dokumentach Missov, Missowe, Misschowe jest Myszowem, miasto Langenlois (w r. 1113 Liubissa) Liubiszą a miasto Zwettl do dziś dnia zachowało swą pierwotną nazwę dokumentami poręczoną Swietla w języku czeskim. Miejscowość Metzling (w r. 1282 Moczelilicz) jest podług dr. Heilsberga [3]) Moczeliszczem, Mutsiedel (w 1146 Motsidel) Moczydlem, Zwinzen (w r. 1150 Zwinsse) Swińcami a Tremegg (w r. 1115 Trevenize) — Trawnicą, podczas gdy dr. Müller widzi w Zaingrub (w r. 1140 Sanikov) słowiański Saników a w Neslach (w r. 1136 Nezlach) Nezda = Gnezno. Miasto Tulln (w dokumentach

[1]) Kiessling. Eine Wanderung darch das Poigenreich.

[2]) Vorarbeiten zur altoestr. Namenkunde. Blätter d. Ver. für d. Landeskunde Nied. Oestr. t. 26.

[3]) Dr. F. Heilsberg. Gechichte der Kolonisation des Waldviertels. Blätt. d. Ver. f. d. Landeskunde Nied. Oestr. 1907.

Dullona) niechybnie przedstawia się jako Dolina a góra Jauerling (w r. 1305 Jaurnik) jako Jawornik. Miejscowość Landau nad rzeką Ybbs zwana w dokumentach: „Sclavinia“, co znaczy, iż niepodobna wątpić w jej słowiańskość. Stammersdorf w XIII w. Stoumarsdorf, Steumarisdorf, jest posiadłością słowiańską Stojmira, jak znowu Gleiss nad rzeką Ybbs jest Gluzinowem, co poświadczają wyraźnie „Monumenta Boica“, w których czytamy:

„993 in loco ubi Gluzo Sclavus habitare et dirnere coepit.... in praedicto loco, quam nunc vulgare nuncupant Gluzen gisagi (—gizagi znaczy w staroniemieckim języku: mieszkanie).

Fribuswinkel koło Badenu wyraźnie oznaczony jest w dokumentach jako „piewnica Słowianina Trebana“. Nazwa niemiecka powstała z dawniejszej nazwy Trebans winkelle— winkelle = winna piwnica.

Podobnych przykładów jak powyższe mógłbym przytoczyć jeszcze bardzo wiele. Dr. Lampel[1]) pisze: „W dolinach wychodzących z Steifeldu — okolica koło Wiener Neustadt i Pütten— znachodzą się ślady słowiańskie na każdym kroku. Prawie wszystkie rzeki i potoki wypływające z „Wienerwaid“ noszą nazwy słowiańskie: Liesing, Piesting, Triesting itd. Równie w dolinie rzeki Pütten znajdujemy niektóre starosłowiańskie ślady. Rzeka Feistritz, która koło Edlitz wpływa do Pütten nosi słowiańską nazwę (Bystrzycy), o czem wątpić nie można, samo Edlitz jest słowiańskiemi Jedlicami a tego samego pochodzenia jest prawdopodobnie Moltz i Molzegg, jako też Kulm (Chlum = Hügel) i Kulmberg. A czyż sama nazwa Pütten nie jest słowiańską? Za jej słowiańskością przemawia okoliczność, iż należała do państwa Swietlan koło Węgierskiego Hradeszcza“.

Dr. Müller wymienia jako słowiańskie nazwy rzek: Ipsitz, Krems, Pielaek, (Bielach), Perschling, Liesing, Triesting, Frenz, Fladnitz, Palt i inne jeszcze.

M. A. Becker[2]) pisze, że pasmo wzgórz na zachód od „Wienerwald“, odgraniczające Steinfeld, odcięte jest od pa-

---

[1]) Über die Mark Pütten. Blätt. d. V. f. d. Landeskunde Nied. Oestr. t. 22.

[2]) Emmesberg. Eine histor. — topografsk. Studie. Blätl. d. Ver. f. Landeskunde Nied. Oestr. t. 10

sma wzgórz zwanego „W a n d“ głęboką a wąską wklęsłością, oznaczoną na mapach jako „E m m e r s b e r g e r K l a u s e“. Lud miejscowy zowie ją P r o s s e k i P r o s s e t (przesieka) a potok przepływający tę wklęsłość nosi nazwę P r o s s e k b a c h. Tu wznosi się ruina z a m k u E m m e r s b e r g, który w r. 1140 nosił nazwę P r o c a t a.

S z e m b e r a oznacza jako najstarszych mieszkańców Dolnej Austryi słowiańskich R a k u z ó w znanych już Ptolomeuszowi jako R a k a t a e. Podług niego zwał się R a a b s R a k u z a m i, Schrems — S k r z e m i l i c a m i, E i s g a r n — N a s z k a m i, M e i s e l d o r f — M y ś l i b o r e m, R e i c h a — R a d i k o w e m i t. d.

K a e m m e l [1]) pisze, iż Frankowie nazywali zdobyte ziemie na zachód rzeki Aniży (Enns): O r i e n s, M a r c h i a o r i e n t a l i s, t e r m i n u s r e g n i B o j o a r i o r u m i n O r i e n t e, M a r c h i a V i n i d o r u m, S c l a v i n i a i p r o v i n t i a A v a r o r u m. Nazwa: „M a r c h i a V i n i d o r u m“ i „S c l a v i n i a“ świadczą dobitnie, iż frankoński O s t m a r k obejmujący dzisiejszą Dolną Austryą był podbitą ziemią słowiańską.

Podbój tej ziemi dokonał się w pierwszych latach IX w. Pomiędzy Czechami, Morawami, Bawaryą właściwą a nowoutworzoną Marchią wschodnią (O s t m a r k) ciągnął olbrzymi las zwany „N o r t i c a“, albo L a s e m c z e s k i m, szerokim pasem aż ku wschodnim kończynom dzisiejszej W a c h a u do Dunaju, między Marchią wschodnią a Morawami tworzył Dunaj granice. Okazuje się to z dokumentu celnego z r. 906, zawierającego wzmiankę, iż do państwa morawskiego można dotrzeć Dunajem.

K a e m m e l pisze: „Bez wątpienia znaleźli frankońscy zdobywcy w Marchii wschodniej słowiańskie osady w znacznej liczbie... Poszczególne okręgi stały jak w innych słowiańskich krajach np. w sąsiednich Czechach pod władzą żupanów. Taki żupan („iopan“) istniał w T r a u n g a u (w dzisiejszej Górnej Austryi) nawet pod panowaniem bawarskiem w r. 777. Jeszcze w r. 791 jest o nim wzmianka“. Wylicza on też osady Słowian:

N a d d o l n y m b i e g i e m r z e k i E r l a f, w tak zwanem G r u n z w i g a u, w okolicy dzisiejszego miasta M e l k a miejscowości M a n t e r u;

N a w s c h o d z i e r z e k i A n i ż y, w d o r z e c z u Y b b s, n a d r z e k ą Z a u c h ą, w d o r z e c z a c h Jpsitz i Oponitz.

[1]) Die Anfange des der deutschen Lebens in Oesterreich. Lipsk 1879.

Na południu od Dunaju przedstawia się rozdział słowiańskiego rozsielenia rozmaicie. Najsilniejsze słowiańskie osadnictwo istnieje nad rzekami: Ybbs i Erlaf, jako też nad wszystkimi ich dopływami, co sięga głęboko w Alpy.

Na północnym brzegu Dunaju, pomiędzy miejscowością Grein a ujściem do Dunaju rzeki Kamp znajdują się nazwy słowiańskie. Potoki: Grein, Dimbach (1037 Dunislicha), Sarming (1049 Sabinichi, — Żabnica), Feistritz (Bystrzyca) i Misslingbach (830 Mustrizza) noszą nazwy słowiańskie.

W Wachau pełno nazw słowiańskich a nawet Durrenstein z ruiną historycznego zamku nosi — podług Kaemmela — słowiańską nazwę pochodzącą z pierwiastku słowiańskiego trîuû (tarń — vox hybrida). Miasto i rzeka Krems (995 Chremissa) wskazują bezsprzeczne Kremżą. Dziś niemiecka rada gminna tego miasta uchwala niewydawać licencyi na domokrąźstwo Słowianom i zarazem wzywa wszystkie rady gminne miast w Dolnej Austryi, żeby poszły za jej przykładem.

Marchia wschodnia nie obejmowała całego terytoryum dzisiejszej Dolnej Austryi. Las czeski (Nortica) sięgał od północy Dunaju, należąc do Czech — a obejmował cały dzisiejszy „Waldviertel“ — od Dunaju do dzisiejszej granicy czeskiej, zaś więcej na wschód należał lewy brzeg Dunaju do państwa morawskiego. Późniejsze bezustanne walki graniczne przysporzyły stopniowo Marchii wschodniej i Waldviertel i spory kawał ziemi na lewym brzegu Dunaju, odgraniczony od Lasu czeskiego względnie od „Waldviertlu“ rzeką Dyją (Thaya). W obydwóch tych częściach Dolnej Austryi przetrwał też żywioł słowiański znacznie dłużej, czego znakiem jest okoliczność, iż w czeszczyźnie utrzymały się do teraz niektóre pierwotne nazwy słowiańskie, jak Swetla (Zwettl), Witoraz (Weitra), Bydow (Waidhofen an der Thaya), Dyja (rzeka Thaja) i inne jeszcze. Koło Marcheggmieli się nawet utrzymać jeszcze pierwotni słowaccy mieszkańcy tej okolicy w dwóch czy trzech osadach, o czem niestety nieposiadam bliższych szczegółów.

Dr. Müller pisze: „Karol W. podbił w r. 791 Awarów i utworzył tu marchię. Pierwsze nazwy tej marchii (Vinidorum Marchia, Sclavinia) uwzględniają faktyczne stosunki tego kraju. Zwyciężonych Awarów wypędzili Frankowie, Słowia-

nie mogli pozostać jako służebnicy niemieckich panów. Tym sposobem powstały same przez się nazwy marchii: Avaria, Sclavinia. Marchia Karolingów zwała się tak jeszcze przez wiek X. Zwano ja także regnum Hunorum — Niemcy zwali niekiedy Słowian Hunami — albo Hunia. Nazwa Sclavinia przypada głównie na pierwszą połowę IX w. Frankowie wyzwolili Słowian z pod jarzma Awarów, lecz natomiast nałożyli im swoje, daleko gorsze, które też zniszczyło zupełnie ich byt narodowy".

Germanizacya frankońska rozpoczęta przez Karola W. doznała około połowy X w. przez podbój Marchii przez Madiarów kilkudziesięcioletniej przerwy. Niemczenie podjęli na nowo ustanowieni przez cesarza margrabiowie „Ostmarku" z domu Babenbergów po pogromie Madiarów przez Niemców w r. 1039. Odtąd trwało ono bez przerwy, aż do zupełnego zniszczenia pierwotnej ludności słowiańskiej. Dzieła zniszczenia dokonali tu Bawarowie, którzy wobec Słowian na południu odegrali taką samą rolę niszczyciela jak szczep saski na północy.

W „monumentach" i dyplomataryuszach bawarskich i austryackich znaleźć można bardzo liczne dowody pierwotności słowiańskiej Dolnej Austryi. Oto niektóre:

Dokument Ludwika Pobożnego z r. 834 mówi:

„Granisdorf prope fluvium Enisam in parte Sclavanorum".

W dokumencie Ludwika niemieckiego z r. 837 czytamy:

„Teritorium in Sclavinia in loco nuncupante Ipusa (dzisiejsze miasto Ybbs) juxta flumen Ipusa".

Ksanteńskie Annały wyliczające kraje odziedziczone przez Ludwika niemieckiego wymieniają między innemi: „in Oriente et Selavis".

W „Monumenta Boica" znajduje się:

„832. mous qui apud Winados Colomezza (Chełmiec) vocatur".

„987. Persnicha (miejscowość Perschling)... quod tempore praesenti baemani insidentes arabant.

W tych „Monumentach" zapisano, iż w okolicy miasta St. Pölten mieszkali Słowianie. W r. 890 była w tej okolicy „Sclavanica huba" w użyciu.

Sama nazwa miasta Wiednia, rzymska Vindobona, mimo wszelkich naciąganych niemieckich wywodów keltyckich

wskazuje na słowiańskość. Dowiódł tego Szembera [1]) podnosząc, iż pierwsza część nazw rzymskich: Viano-mina, Vindo-mina, Vindo-bona, Vendo-bona: Viano, Vindo, Vendo oznacza wyraźnie Słowian, a więc pierwotnie słowiańską osadę. Twierdzenie Szembery popiera późniejsza nazwa: Vindopolis z XII i XIII, z której jasno wynika, iż na dworze Babenbergów uważano Wiedeń jako miasto Wendów czyli Słowian.

Dr. Müller zbijając niemieckie niedorzeczne wywody z keltyckiego i staroniemieckiego języka rzymskiej nazwy Wiednia pisze: „Jeśli dla nazwy „In der Wien“ — mówi tu o nazwie pola w Górnej Styryi — słowiańskie pochodzenie jest możliwe, tak samo ma się rzecz z dolno-austryacką rzeką Wien (Wiedenką), posiadającą dopływy z niezawodnie słowiańskimi nazwami: Gablitz i Lainz, jako też z miastem Wien“

Dodać do tego należy, iż przedmieścia Wiednia: Penzing, Grinzing, Lainz, Semering i Döbling (w dokumentach Dobelich) i Alservorstadl (potok Alserbach, od którego pochodzi nazwa przedmieścia, w dokumentach: Alsa, Olsa) noszą nazwy słowiańskie, tak samo zaś miejscowości w najbliższej okolicy Wiednia: Gablitz, Liesing, Mödling i Weidling (w dokumentach: Widnich). Kahlenberg zaś pod Wiedniem nosił dawniej nazwę Kulm.

Dr. Heilsberg stwierdza na podstawie „Fontes rerum Austriacarum“, że północno-zachodnią część „Waldviertlu“ należała do Czech. Ku Morawom zaś tworzyła granicę góra Grenzberg, leżąca w dorzeczu Traisen a Mautern nad Dunajem było stacyą graniczną. W r. 1012 wymienione jest miasto dolno-austryackie Stockeran jako leżące „in Bavariorum confinio et Moraviensium.

Północno-zachodnia część „Waldviertlu“ wykazuje we wszystkich swoich osadach słowiańską formę wsi a w Rassingsdorf wymienią dokumenty jako świadka pewnego „Rating sclavus“ jeszcze w połowie XII w., w Globnitz, w pobliżu miasta Zwettl występuje w r. 1205 „Fridericus Neuscil“. Na początku XIV jest jeszcze w stanie pisarz „Księgi opactwa Zwettl“ („Zwettler Stiftungsbuch“) pochodzenie i znaczenie nazwy miejscowej Swietla (Zwettl) podać prawidłowo. Klasztor Zwettl, między którego

[1]) Wohnstätte d. heiligen Severin.

opatami w średnich wiekach znajduje się jeden imieniem Bohuslaw, jako też klasztor Geras-Pernegg, ufundowany przez Czecha Selana, utrzymywały dość ścisłe stosunki z sąsiedniemi krajami słowiańskiemi.

Granicę pomiędzy „Waldviertlem“ a Czechami jako też pomiędzy częścią Dolnej Austryi połączoną na lewym brzegu Dunaju ustanawiano i wysuwano wciąż więcej ku Czechom i Morawom wśród ustawicznych walk granicznych.

W r. 1015 i 1017 walczy na tych kresach margrabia Henryk przeciw Polakom. Następstwem tych walk było ustanowienie rzeki Dyji (Thaya) jako granicy. Walki graniczne toczą się w r. 1082 i 1100. Czeski Brzetysław pospiesza z pomocą zbrojną swemu bratu morawskiemu Borzywojowi i obydwaj razem ciągną przeciw Rakuzom (Raabs), znajdującym się pod władzą jednego z książąt czeskich, ich krewnego, roszczącego sobie prawo do Moraw.

Dokument Fryderyka I z r. 1179 stwierdza, iż dzisiejsze dolno-austryackie miasto Weitra (Witoraz) nie należała do „Ostmarku“. Król czeski bowiem nadaje to miasto w r. 1185 jako czeskie lenno Kuenringom. Dopiero Rosenburgi odstępują Habsburgom państwo Rakuzy (Raabs), zwane w r. 1074 „silva Rogacz“. Dokument z r. 1209 zalicza zachodnią część „Waldviertlu“ do Lasu czeskiego.

W XIII i w XIV w. wzięto się dopiero do trzebienia lasów i kolonizowania ziemi Niemcami. Kolonizacya niemiecka Marchii wschodniej zaczęta właściwie w r. 1000 a skończyła się około r. 1400. Najpóźniej osiadła ludność niemiecka w okręgach: Litschau i Gross-Gerungs. Pionierami germanizacyi były tu, jak w ogóle na wszystkich ziemiach słowiańskich, klasztory. Już w r. 777 założono klasztor Kremsmünster na granicy państwa Awarów (dziś Górna Austrya) w tym samym celu ekspanzywności niemieckiej, jak przedtem ufundowano klasztor w Innicheu w Tyrolu wyraźnie przeciw Słowianom. Żądza posiadłości i władzy pędzi bawarskich biskupów i bawarskich opatów do ziem słowiańskich. Tu duchowieństwo niemieckie nie występuje samoistnie lub też w przeciwieństwie do władzy państwowej jak w Niemczech, lecz przeważnie łączy się z nią ściśle a nawet poddaje się jej w części. Biskupi i opactwa nabywają ziemię i budują kościoły. Rzemieślnicy i robotnicy sprowadzeni z Niemiec pozostają po skończonej budowie w kraju. Koloniści

bez wyjątku przyjmują poddaństwo u szlachty i u klasztorów, u właścicieli ziemi. Później gdy szlachta zyskała przewagę nad klasztorami, jako też po napadzie Madiarów, dał się czuć w kraju wielki brak rąk do pracy. Wskutek tego zmienił się system kolonizacyi. Panowie dla ściągania kolonistów z Niemiec przyznawali nowym przybyszom pewne wolności tak, iż z czasem poddańczy charakter pierwszego osiedlenia zmienił się zupełnie.

Co raz więcej napływało niemieckich kolonistów a w miarę tego i potęgującego się ucisku Słowian zalała fala niemiecka pierwobyłą ludność i Dolna Austrya stała się cmentarzem słowiańskim. Prastare osady słowiańskie zamienione na „dorfy" o wykoszlawionych, wręcz niedorzecznych nazwach. Borek przeistoczył się Burg, Radwanów w Rothweinsdorf, Dolina w Tulln, Trebanowa (piwnica) w Tribuswinkel, Srzemielice w Schrems, Suchykąt w Schwechat, Kubrecy w Kühfressen i t. d i t. d.

A teraz słówko jeszcze o pierwotnej ludności słowiańskiej Dolnej Austryi. Nie była ona jednolita. Na lewym brzegu Dunaju ku północy po rzekę Dyję (Thaya) były osady czeskie, za Dyją szli Morawianie a nad rzeką Morawą w okolicy Marchegg siedlili Słowacy. Prawy brzeg Dunaju ku Styryi był częścią ziem Słowian karątańskich.

Górna Austrya dzieliła mniej więcej losy ziem Dolnej Austryi będąc pierwotnie krajem słowiańskim, zniemczonym przez kolonizacyę. Zaczęto tu jeszcze wcześniej niemczenie przez założenie klasztorów w St. Florian i w Kremsmunster. Germanizacya była tu odrazu w miarę mniejszej odległości od Bawaryi, silniejszą, niż w Dolnej Austryi.

Mimo to pozostały liczne ślady pierwszego słowiańskiego zaludnienia. Żyją one w słowiańskich nazwach, jako też w niektórych zachowanych starych zwyczajach i obyczajach ludu, szczególnie w dorzeczu rzeki Steyer, w okręgu Priel (Prielgebiet), nad rzeką Krems, w dorzeczu rzeki Naarn, w dolinie rzeki Raming i w Mühlviertel, gdzie się znajdowały najgęściejsze osady słowiańskie. „Mühlviertel został oderwany od Czech w X w. O gęstych słowiańskich osadach w dorzeczu Naarnu wspominają wyraźnie dokumenta z XI i XII w.

Rzeki tego kraju noszą przeważnie słowiańskie nazwy, jako to: Sarming (998 Sabinicha) Dimbauh (1049 Dambinich), Dobra, Longwitz i Longnitz, Wissnitz,

Flanitz, Jaunitz, i Feistritz, Krems, Steyer i inne jeszcze.

Góry i lasy noszą równie słowiańskie nazwy: Dobringerwald, Zölsenberg, Oetscher, Kulm i Chlum, Jaunitz, Lungitzberg, Deimnig (las w r. 1141 Timnich), Zeitzenberg i t. d.

Osady zowią się: Altkruken, Babenham, Doglesbach, Dobring, Domsberg, Gerersberg, Gerersdorf, 2 Geritz, Gollnbach, Gollner, Gurhof, 3 Jebing (tego samego pochodzenia jak dolno-austryacka rzeka i miasto Ybbs), Jeding, Jeging, Jodlleiten, Kalling, Kanten, Kolmberg, Kolming, Kolmhof, Krems, Kremsmunster, Krögering, Krukenberg, Kulm, Krawitzmuhle, Lasberg, Lascheu, 6 Lenggau, Lucka, Lungitz, Motlasberg, Motlas, Oberkulm, Paben, Papingen, Polling, Polsenz, Pramwald i Pramegg, Raunariedel z łąkami Dollwiesen i lasem Dolesek, Sarning i Sierning, Simering, Stobichen, Strupp, Thernau, Tobru, Usting, Wendbach, 2 Wendling, Wieden, Wim, Wimholz, Wienering, Wissnitz, Zirking, Zölling, Zwettl (wieś Swietla) i wiele innych.

Niewiem czy niemieccy uczeni próbowali wyprowadzać powyższe nazwy z keliyckiego. Śmiem atoli twierdzić, iż nie są one niemieckie a posiadają tak w oczy bijące znamiona słowiańskości, iż dla stwierdzenia tego nie trzeba się nawet uciekać do kodeksu dyplomatycznego.

Kaemmel pisze: „Około Puchenau w okolicy Lincu znajdowali się podług dokumentu z r. 827 liczni słowiańscy właściciele ziemi, którzy od długiego czasu byli tu osiedleni, skoro mężowie z nich, w liczbie 21, przesłuchiwani byli jako świadkowie w sprawie oznaczenia najstarszych granic... Dalej istnieli w tak zwanej „Riedmarch“ i w gęsto zalesionej okolicy nad rzeką Aist i Naaru (Narden), jako też pomiędzy temi rzekami, około r. 853 wolni i niewolni Słowianie a koło Gallnenkirchen byli jeszcze w czasie pomiędzy r. 1111 a r. 1115 słowiańscy posiadacze ziemi w wsiach słowiańskie nazwy noszących, mianowicie: w Proselsdorf (w r. 1111 Primizlaisdorf) i w Trebes (w r. 1115 Trebessa).

W „Urkundenbuch ob der Enns“ czytamy o tem: „W Riedmarchu leży predium Marchuardi Tre-

beia, predium Stoigei Trebesse, Bramizlaistorf i predium Penzonis Threbenicha... Ad Widelheim predium, quod tradiderunt Misico".

W dokumencie fundacyjnym księcia-wojewody bawarskiego Tassila II z rodu Agilolfingów, wystawionym nowo założonemu klasztorowi Benedyktynów w Kremsmunster, jest wyraźnie mowa o krajowej ludności słowiańskiej. Nadaje on bowiem klasztorowi „decanatum Sclavorum" wymieniając przytem dużo nazw słowiańskich i przewódców Słowian (żupanów) noszących imiona: Talliub, Saruna i Physso. Dokument wypowiada też, iż Tassilo II zakłada klasztor dla zwalczenia pogaństwa między Słowianami i dla ich germanizacyi.

Drugie opactwo górno-austryackie w St. Florian posiadało w okolicy Windbergu dobra, które w dokumencie księcia Leopolda VII z 1205 wymienione są jako położone koło góry, nazwanej „Sclavorum sive Winidorum mous" (Windberg).

Dokument nadający klasztorowi Kremsmunster dobra, skonfiskowane hrabiemu „Ostmarku" Wilhelmowi oznacza ich położenie: „in Bavarie scilicet atque Sclaviniae locis vel terminis.

Zwiedzając przed kilku laty wspaniały klasztor w Kremsmünster, posiadający cenną książnicę, zbiory naukowe i galeryę obrazów wyczytałem w kronice klasztornej, iż „silny lud Bajuwarów któremu dowodzili książęta-wojewodowie z domu Agololfingów, odniósł w r. 772 pod Tassilem II rozstrzygające zwycięstwo nad plemionami Wendów, dziś po największej części zwanycp Słowieńcami którzy wtedy siedzieli w dorzeczu Trawny (Tranu), Aniży (Enns) i Styru (Steyer)" — co znaczy, iż zajmowali prawie całą Górną Austryę. „Tassilo zmusił ich do płacenia haraczu" a „bezpośrednio wśród osad słowiańskich założył kolonię klasztorną nad rzeką Krems", by „wyzyskać dobre powodzenie broni".

Inna kronika klasztorna pisze: ,,Benedyktyni urządzili zaraz, po osiedleniu się w Kremsmünster, dekanaty słowiańskie w Sirning, Dittach, Eberstall, Pettenbach, sięgające rzeki Alm, następnie na północy rzeki Bils i nad rzekami Aschach i Rotel inne dekanaty słowiańskie... W szczególności Benedyktyni w Kremsmünster pracowali nad zchrześcianizowaniem Słowian na rzeką Krems (Krzemienicą)

nad Enns (Aniżę). Słowianie zajmowali wówczas nie tylko doliny poprzeczne, wybiegające ku północnej Karyntyi, lecz także wszystkie ziemie podgórskie od rzeki Alm aż do Enns i daleko po za nią". Kronika zowie Słowian nad rzeką Krzemienicą „Kremsslaven, zaś mieszkających nad Anizą „Ennsszlaven".

Sądzę, iż to wystarczy dla stwierdzenia słowiańskiej pierwotności Górnej Austryi.

Teraz przejdźmy do **ziemi solnogrodzkiej** (Salzburga). Ta posiadała równie pierwotne słowiańskie zaludnienie, lecz tu, gdzie się znajdowała stolica panujących arcybiskupów solnogrodzkich, których możny wpływ sięgał aż do państwa wielkomorawskiego, tępiono Słowian najbezwzględniej silną ręką połączonej władzy duchownej z świecką, nadto zaś germanizacya rozpoczęła się wcześniej niż w sąsiedniej Górnej Austryi.

W r. 864 widzimy tutejszego arcybiskupa Alwina na dworze morawsko-słowackiego księcia Priwina, w jego stolicy nad Błotnem jeziorem (Platensee). Buduje on i poświęca w jego państwie kościoły osadzając na nich księży niemieckich. Ten arcybiskup i jego następca Theotmar wiodą zaciętą walkę przeciw słowiańskiej liturgii apostołów słowiańskich Cyryla i Metodego.

Wrogie usposobienie wobec Słowian okazuje się jaskrawo z listu arcybiskupa Theotmara pisanego do papieża Jana VIII, w którym on zarzuca Słowianom zuchwalstwo, kłamliwość, oszczerstwo i zdradę.

Arcybiskupi solnogrodzcy, widzący swe posłannictwo w zwalczaniu słowianizmu, ożywieni wrogim duchem przeciw Słowianom tępili ich w swoim państwie, ile tylko starczyło im siły. Wytępili ich też dość wcześnie, jednak zatrzeć ich śladów nie zdołali. Słowiańskie nazwy bowiem i tu tworzą pomniki pierwobyłości Słowian. Jest ich sporo, jako to: Babenbichl, Brumberg Bremm, Döllenhof, Gersbach, Göming, Göriach, Goliach, Gollech, Gollachen, Golling, Gottswinden, Grödig, Kolling, Kolm-Saigurn, Kraiwies, Lasa, Lasaberg, 2 Lechen, Leis, Lengau, Lengdorf, 3 Lessach, Lignitz, Mislitz, Olching, Stiglip, Strub, Tschara, Wenglipen, 3 Wieden, 5 Wim,

[1]) Geschichte Salzburgs. (t. 1 str. 140). Gotha 1907 Nakład Perthesa.

Wimpoin, Wimberg, Winden, Zaglau, Zauch, Zoitzach i inne.

O Słowianach solnogrodzkich pisze H. Widmann: „Z historyi Maximilianzelle dowiadujemy się o solnogrodzkich pogańskich Słowianach, którzy ją zburzyli... Najwięcej na północ wysunięte nazwy słowiańskie znajdują się w okolicy, już za rzymskich czasów uprawianej, koło Kuchl: Garuni (1334 Gurnei) i Jadorf (1459 Jardorf), pochodzące z wyrazu góra i słowiańskiego imienia osobowego Jaro. Zaledwo jednak przekroczymy przełęcz Lueg, uderza nas w dolinie rzeki Salzach i jej bocznych dolinach, jako też w dorzeczu Aniży a szczególnie Muru — w Lungau — wielka liczba nazw słowiańskich... Koło St. Johann im Pongau znajdujemy Zoss (z sosna)“. Historyk niemiecki uważa za słowiańskie nazwy: Loibfarn, Müschl, Larf, Arlgut, Zederberg, Scheich, Kalschberg (2 razy), Anernigg, Goller, Windfeln i Glüsenberg. „Słoneczna okolica koło St. Veit, wcześnie zaludniona, uważana jest z powodu imienia świętego (św. Wita) za słowiańską“. Słowiańskie podług niego są dalej nazwy: Mehlteuerer, Zuckerlehen, Posann i Schernberg. „W wąskiej dolinie Dientner, jako też w okolicy koło Salfelden nie znajdujemy nazw słowiańskich, jeśli do nich nie zaliczymy Ramseiden, która posiadała słowiańskich osadników. W równej mierze znajdowali się osadnicy słowiańscy w Texenbach i w Zell am See, jako też w okręgu Pinzgau, który był już zamieszkany za czasów rzymskich... W Krimml (dolina z słynnymi wodospadami) znajduje się: Windbach, Windkar, Windkogel, Glockenkar (glocken powstało z golu = nackt), Glockenkäs i Glockenkogel. Do jakiego języka należa nazwa Gerlos?

Można śmiało odpowiedzieć, że do słowiańskiego, jak wszystkie inne nazwy niemieckie, z których przebija brzmienie: las, los, les i leis.

Widmann pisze dalej: „Natomiast posiadały doliny Wielkiego i Małego Arl, jako też doliny Gusteinu i Rauris czysto słowiańską ludność. Słowiańską jest nazwa samej rzeki Arl... Słowiańskiego pochodzenia są bezsprzecznie nazwy: Poisslehen, Buchkolm (z hlumu = Hügel; ostatnie powtarza się jako Kolm, Kulm pojedynczo albo w złączeniu). Obok tych nazw znajdują się: Frastegg, Gollegg, Karteis i Kardeis,

2 Kree i Kreh, Milsitz, Perail, Glingspitze, Schödersee (z stodor), Kulmsee, Gstöss, Rastezzen i inne. Wprawdzie próbowano tłumaczyć nazwę Gastein z łacińskiego języka ale napróżno. Nazwa pochodzi z słowiańskiego: gostî, gostinici lub też z gozd (las). Słowiańskiego pochodzenia są inne liczne nazwy: Weltheuer, Lafen, Schöckel, Zugelsberg, Kötschach, Krallendorf, Böckstein, Stuhl, Windschur, Viehzeitkogel, (z wyrazu: wysoki), Sperankogel, Zidraner, Woigsteinkogel (z osiek), Krugalpe (z krąg), Stiglitzbuch, Rauchzage, Schlapereben, Wurm, Goblasen i inne".

Kodeksy dyplomatyczne potwierdzają słowiańskość tych nazw. „W dolinie Rauris słowiańskie są nazwy: Frostberg, Schoderkogel (z stodor), Kolm-Saigura, Riffel i Windischscharte. Czy nazwa alpy Bockenay w dolinie Fusch da się wytłumaczyć z słowiańskiego, nie wiem; trudno atoli łączyć ją z niemiemieckiem Bock (cap). „In den Juden", jak zowią się stoki gór na zachód od Tauernalpe, i dolina Käfer, brzmią wprawdzie po niemiecku, lecz prawdopodobnie nie są niemieckie. Równie przyłęcz Pfandlscharte nie posiada nazwy niemieckiej. Na granicy wznosi się stroma, jak twierdza wyglądająca góra Wasserad urobiona na słowiańskim „Wyszegradzie"... Lungau zamieszkiwali Słowianie wcześnie i licznie a język ich musiał się tu utrzymać dłużej... Zdążając z Radstadt starym gościńcem spotykamy na lewo Labenkogel", na prawo Tseheibitzkogel, Gurpitcheck, Faninghöhe, po lewej zaś stronie: Lanschützberg, Lanschützbach i 2 Lanschützsee, Begoriach, na południu widnieje. Speeieck, Pleisslingkeil, Sperzingerkogel, Permut, Sekliererspitze, Pleissnitztkeil, Pleissnitzsee i 2 razy Wurmfeld. W bliskości Mauterndorf leży wieś „in der Threnyggen" a Zederhaus posiada łan zowiący się „Lom". W dolinie rzeki Mur (Morawa) spotykamy cały szereg nazw słowiańskich: Schrobinkogel, Marislwald, Grobnitzerkogl, Pleissnitzkogel, Muritzen, Weinschnabel, Oblitzen, Storz, Schlungkogel, Tschanneck, Kotschberg. Theuerloch, Lausnitzhöhe, Schöngeletzhöhe, Mistizwald i Mistizhöhe, Hradofen. W XVI w. istniały

miejscowości: Zopponitz, Zaluzenalm, am Garwin, Triebink, Hildertitzsch, Flatschach, Mistnitz (w r. 1334 Muechsnicz i Muchsnitz). W r. 1112 istniał Supan (żupan) w Hübbegitz; koło Tamsweg, główego miasta w Lungau, wznosi się Lasaberg, płynie potok Leisnitz, a wystercza wysoka góra Preber. Z Mauterndorf przybyliśmy tu przez Paseggen (przesiekę), koło Maria Pfarr leży Zankwarn i Tscharna, w dolinie Lessach widzimy Somsspitz, Hochgolling, wysoki Göll, Stodergraben... W tej dolinie leży jedno z wielu Lanschitz, Lantschfeld, Kamenitzhöhe, Prokeschkogl, Znölingwand, Znölinglhal i Znölingbach; znajdujemy tu nazwy dolin i potoków: Mignitz, Luniz, Znot, Znach, Goriach, Rosenig, Olschitz; nazwy łanów: Zagraden, Bubigen, Zeinpitsch, Ztrin, Illwitz, Stirmitz, Tschitschana, Scheingeling, Tumeriz, Pliniz, Planiz, Ablanzen, Rupanin. Z tem łączą zię nazwy osad: Gensglitsch, Zoijach, może także Stranach. Osady niemieckie są wszystkie młodsze".

Po wyjściu Longobardów z tych stron do Włoch (565) następuje panowanie Awarów nad Słowianami alpejskimi, których napadają także Bawarowie. Między 590—616 toczy z Słowianami walki bawarski książę-wojewoda Tassilo I, potem następca jego Garibald. Kürsinger [1]) wspomina o podaniu żyjącem między ludem o wielkiej bitwie stoczonej z Bawarami w dolinie Bundschuh, w której padł bawarski książę Diet wraz z swą małżonką Gleistrudą. Oboje leżą pochowani w Lungau. Później ułożyły się lepiej stosunki pomiędzy Słowianami a Bawarami, których pierwsi przywołują na pomoc przeciw Awarom. Bawarowie odnoszą zwycięstwo nad Awarami i wyzwalają Słowian z pod ich panowania, narzucają im atoli natomiast swoje jarzmo, daleko groźniejsze, które zupełnie niszczyło Słowian.

Słowiańska ludność Lungau zwana Lużanami albo Łężanami odznaczała się nadzwyczajną walecznością. Walki z Bawarami trwały prawie przez 100 lat. Łężanie zrzucali kilkakrotnie z siebie jarzmo bawarskie. Jeszcze w r. 776 dają znak życia burząc klasztor założony przez św. Rupreekta w Bischofshofen. Ostatecznie podbijają ich Niemcy zupełnie a duchowieństwo niemieckie dokonuje ich zniszczenia narodowego.

[1]) Werk über Geschichte, Volkskunde u. Statistik Lungaus.

Dzisiejsze Lungau należało za rzymskich czasów wraz z równie słowiańskiem Pongau i Pinzgau do środkowego Noricum. Ziemia ta leżąca u źródeł rzek: Muru i Aniży tworzy wyniosłą płaszczyznę, wznoszącą się 1500 metrów nad poziomem morza, otoczoną ze wszech stron niebotycznemi, skalistemi górami. Do ziemi tej położonej w najwyższych górach a zamkniętej jak twierdza można się jedynie dostać przez strome przyłęcze. Dla tego utrzymała tu ludność dłużej swą narodowość słowiańską aniżeli na ziemiach sąsiednich.

Kürsinger stwierdza iż między dzisiejszymi mieszkańcami Lungau utrzymało się dużo starych zwyczajów i obyczajów słowiańskich. Tak też jest w istocie rzeczy, jak się o tem przekonałem bawiąc w Tainsweg, stolicy Lungau. Zabobonność i wierzenia ludu są niemal czysto słowiańskie. Nie brak krasoludków, zwanych „käsmandlami“, południc i zmor. Wyprawy z bydłem i owcami na hale (Alm) i powrót z nich obchodzą podobnie uroczyście jak nasi tatrzańscy górale swój redyk. Zwyczaje weselne u nich jakoby wzorowane na naszych ludowych. Wyraz „dolina“ zachował się dotychczas w ich gwarze. Boczne doliny górskie zowią „dollinen“, chata zaś u nich zowie się „kutsche“, „gingatz'n“ znaczy u nich spać siedząco, „jagos'n“ zaś iść na hale. Zdziwienie wyrażają okrzykami: „otschanzo!“ albo: „gubabi!“, co wszystko niepodobna wytłomaczyć z języka staroniemieckiego lub z keltyckiego.

W Tamsweg zapisałem sobie niektóre nazwiska dzisiejszych mieszkańców miasta. Brzmią one: Ursula Robiniggen, Johan Göms, Barbara Philipitschen, Leonhard Gressing, Jozef Paseka, Georg Streletz, Phillip Bonek. Są to bezsprzecznie słowiańskie nazwiska. Bez przesady możnaby twierdzić o ludzie w Lungau, iż w głównej swej istocie pozostał słowiańskim jak nim był w prawieku, z tą tylko różnicą, iż używa osobliwego, bardzo zepsutego narzecza niemieckiego.

W Pinzgau i Pongau utrzymało się pomiędzy ludem w zwyczajach i w gwarze nie mało pozostałości słowiańskich.

Przedorlańsko (Vorarlberg) przedstawia się podobnie jak poprzednie kraje, jak o cmentarzysko słowiańskie z dwoma warstwami wynarodowienia Słowian: romanizacyi i wzrosłej na jej gruzach germanizacyi. Pierwotna ludność tego kraju należała, jak zgodnie stwierdzają historycy, do szczepu Windilików albo Windolików, Słowian, jak sama nazwa ich wyraża,

tj. Słowian z nad rzeki L e c h, głównej ich siedziby. Potwierdza to cały szereg niemieckich i słowiańskich uczonych. Tu poczęła tracić ludność swą narodowość słowiańską stawszy się przedmiotem podboju rzymskiego już w pierwszym, a z pewnością w drugim wieku po Chr. Mimo tak wczesnego wynaradawiania pierwobyłej ludności Słowiańskiej, najprzód przez Rzymian, następnie zaś przez Niemców, utrzymały się przecież i tu wyraźne ślady słowiańskie w nazwach i g w a r z e l u d o w e j u ź r ó d l i s k L e c h a, wypływającego w tym kraju koło R o t h w a n d z jeziora F o r n a r i n a. Dorzecze Lecha oddziela od doliny Innu pasmo wysokich, wapiennych gór z trudno dostępnemi przyłęczami, między tymi główna p r z y ł ę c z F e r n (Fernpass), kędy wiedzie prastary gościniec z źródlisk rzeki L o i s a c h przez dział wód w dorzecze Lecha. L o i s a c h i dopływ Lecha M a r b a c h (Morawa) noszą nazwy słowiańskie a tak samo Z ü r s, L ü t z i L e t s c h b a c h. Spotykamy tu nazwy potoków, gór i osad: D o l a a s ser Spitze, G a d e n, G u l l e n, L a s a n g a, K r u k e r-joch, R e g l e r spitze, R o g s spitze, P a z i e l spitze, D u r n a u, M i l thal i M i l thalbach, W e l z a u, G r i e s a u, G u t s c h a u, K e l m e u i inne, nazwy posiadające bezsprzecznie znamię słowiańskości.

Sama nazwa kraju Vo r a rlberg pochodząca z nazwy góry Arl, najwyższej w tem paśmie Alp, zawiera w sobie pierwiastek słowiański. Jeśli W i d m a n n dowodzi słowiańskość solnogrodzkich A r l ó w, dlaczego g ó r a A r l miałaby być innego pochodzenia? Rzymska nazwa góry A r u l a niedowodzi nic, jeśli sobie uprzytomnimy, iż Rzymianie, czego posiadamy przekonywujące dowody, brali jako zdobywcy ziem słowiańskich pierwotne nazwy słowiańskie przerabiając je w swój sposób. Widzimy to w R e c y l i W i n d i l i c y i jako też gdzieindziej. W szczególności stosuje się to do nazw ziemiopisnych. Swoje nazwy nadawali głównie tylko zakładanym przez siebie nowym c a s t r u m i osadom przy nich znajdującym się. Ma słuszność Widmann uważając solnogrodzkie A r l za słowiańskie. Tylko trudno się zgodzić z jego wywodem nazwy A r l z a r u l a, co ma oznaczać podług jego objaśnienia: rodzaj pługa słowiańskiego (prawdopodobnie z o r a ć pochodzącego), skoro inne słowiańskie pochodzenie, mianowicie przymiotnikowe z wyrazu o r e l, o r z e ł a więc O r l a r z e k a, O r l a g ó r a, jest o wiele właściwsze. Trudno też przypuszczać, żeby pług mógł na ziemi solnogrodz-

kiej nadać nazwę rzekom: Wielkiemu i Małemu Arlowi o tak samo górze na pograniczu Tyrolu i Vorarlbergu. Chociaż rzymska nazwa A r u l a odpowiadałaby zupełnie owemu rodzajowi pługa słowiańskiego zwanego przez Widmanna a r u l ą, sądzę, iż zarówno rzeki solnogrodzkie jak góra, o której mowa; nosiły pierwotnie nazwę O r l a, z czego rzymianie urobili swoją A r u l a a Niemcy A r l. Nazw w Słowiańszczyźnie pochodzących z pierwiastka o r e l, o r z e ł wszędzie jest nie mało.

Miasto B l u d e n z, w starych dokumentach: P l u t e n e s i B l u t e n e s, jest słowiańskimi Blotnicami, co uzasadnia się prócz starej nazwy położeniem miasta. Stare miasto bowiem leżało w okolicy, w których znajdowały się błota a w nich przebywał podług miejscowego podania straszny potwór zwany B l a t n i k. W okolicy miasta znajduje się M o k r i - A u l a g e n a naprzeciw niego wznosi się wysoka góra S c e s a p l a n a (wymawiana: S z c z e z a p l a n a), na której wciąż usuwają się kawały skalne i spadają na dół, tak iż góra niknie, istotnie s z c z e z a. Inne góry tego kraju zowią się: F r e s c h e n, G a r n i z a, Hoch g e r a c h, G l a n g, Z i m b a s spitze, G o l m, K o r d a t s c h e, T s c h a l l e n g e n, L a s a n k a tobel, B i e l e r höhe. Rzeka I l l płynie terenem pełnym iłu. Słowiańskie są nazwy miejscowości: D a l a a s, F r a s t a n z, L a z z, G a t s c h u r n, T s c h a g a n s, Blu d e s c h, L a u t s c h, N e n z i n g, G a n t e g g, G a m p r e t z, Kolehda.

Na miejscu dzisiejszego S t. A n t o n leżało podług podania miasto Pra Z a l a n g a, zasypane podczas trzęsienia ziemi urwiskami skał. W tem miejscu istnieje obecnie łąka nosząca nazwę Z a l a n g a.

Przy źródliskach rzeki Lech i w okolicy koło miejscowości Lech, wśród wysokich, trudno przystępnych gór, zachowały się u ludu niektóre właściwości słowiańskie. Starsze niewiasty lub będące w żałobie nosiły w górnej dolinie Lecha spadające z głowy do ziemi, szerokie rańtuchy, zwane „S t a n c h e“ [1]). Sądzę, że te „s t a n c h y“ można bez wahania zaliczyć do niewieścich uroczystościowych a także żałobnych płacht, rozpowszechnionych po całej Słowiańszczyźnie. Noszono też bardzo często wysokie czapki wydrzane z zielonym kutasem, przypominające żywcem kaszubskie „m u c e“. Między ludem utrzymuje się podanie o Ju-

---

[1]) Ch. Schneller. Anton Folgar u. das Lechthal, Innsbruck 1877.

liuszu Cezarze, podobnie jak u nas, chociaż żadne świadectwo dziejowe nie wskazuje na jego pobyt w tych stronach kiedykolwiek. Lud miejscowy wadliwy, skłonny do procesów, nie gardzi wódką, jest bardzo ruchliwy, wesoły i gościnny. Odznacza się zabobonnością i przesądami. Wierzy w duchy. Nocą roją się nimi turnie i hale. Z hukiem i trzaskiem gonią w powietrzu czarne łowcy i łowczynie; w postaci obrzydliwej ropuchy pokutują zaklęte księżniczki; „f a n g i“ (dziwożony) szkaradne, w obszarpanych łachmanach czychają, by ludziom porywać dzieci lub wyprawiać inne złośliwe psoty. Upiory jawią się wszędzie a zowią się „p u c e“. Na łysych górach, szczególnie na górze P i m i g i N o z g e n odbywają się tłumne zloty czarownic, wylatujących na trzonach łopat i mioteł kominami z domów. Z bagien i błot wychylają się potworne „b l u a t s c h i n g i“ wyciągający łapy, by łowić ludzi; „m a r t“ (zmora) trapi i dusi ludzi w nocy. Chłopcy w białych szatach chodzą w czasie Bożego Narodzenia po kolędzie, co się zowie „s t e r n s i n g e u“. Miasta pozapadały się w ziemię lub wodę. Z głębin odzywają się niekiedy dzwony srebrnym głosem. Przy zmarłych ustawia się w nocy straż, przy pogrzebach odbywają się sute stypy a przy weselach i chrzcinach prawią długie, wyuczone mowy, często wierszem. Drwinkują też, jak na Pomorzu sąsiedzi z sąsiadów, co wszystko nosi cechy słowiańskie.

Najlepszym dowodem pierwotnej .słowiańskości tego ludu są wyrazy pochodzenia słowiańskiego utrzymane w gwarze ludowej. Jest ich sporo tego rodzaju jak: „o m m o“ i „m a m m o“ — matka, „m e s o“ — krowa jałowa, „m u t s c h a l l o“ — rodzaj chleba białego, „s c h o c h a“ — suszyć siano w stoskach, „b l u a t s c h i n g“ i „b l a t n i k“ — potwór błotny, błotnik; „s z n a p p a“ — katanka, żupanik; „s c h o p f“ — czop, „z e s c h a“, „z a s c h a“ i „t s c h u s c h e n“ — czesać len, „p l u n g a“ — bagno, „g e a r a“ — szpiczasta góra, „b i s s a“ — biedz, „r o d“ — rząd „j ö s a“ — kwaśnieć, „g u t s c h a“ — tapczan zaścielony do siedzenia, „k a i a“ — żałować, kajać się, „e s k a i t m i“ — martwi mnie; „m a r a“ — morzyć, „e s h a t m i s i c h g e m a r t“ — duchy oznajmiły mi bliską śmierć; „b ö l e n d a“ — boleć, „b ö l e n d i g“ — bolesny, „e s h a t m i r e c h t g a b ö l e n d e t“ — bolało mnie dość silnie; „g a d a“ izba sypialna, „m o r z i g“ — chudy (bydło), zamorzony, „s t o t z a“ — naczynie do mleka,

„z e z a“ — kpić z kogo, „t a t t e“ — ojciec „g r u t z g a“ — trzeszczeć i inne jeszcze.

Nie brak też świadectw historycznych o pierwotnem zaludnieniu Przedorlańska.

W spisie dochodów szwajcarskiego biskupstwa Chur z X w. znajdują się słowiańskie imiona osobowe, między tymt „b e n e f i c i u m Isuani Sclavi in villa Pludassis“ (dzisiejsza miejscowość Bludesch w Vorarlbergu)[1]).

Klasztor Windberg nosił nazwę: „Venetidunum i. e. Sclavi mons“.

Bergmann [2]) twierdzi stanowczo, iż Vorarlberg posiadał pierwotną ludność słowiańską obok romańskiej ; to ostatnie znaczy: obok zromanizowanych Słowian.

Tak się przedstawia pierwotne osadnictwo czterech dziś „czysto niemieckich“ krajów. *G. Smólski.*

KALENDARZE DLA MAZURÓW W LATACH 1835-1880.

Mazurami zowią południową część Prus Książęcych, położoną między 37⁰ 21’ a 40⁰ 28’ wschodniej długości geogr. a 53⁰ 7’ i 54⁰ 32’ północnej szerokości. Ze wschodu i południa okrąża Mazurów granica Królestwa Polskiego od Przerośli aż do Mławy. Północno zachodnią granicę tworzy linia poprowadzona od Gołdapi począwszy w prostym kierunku na Węgobork, Rastembork, Szczęsno (Sehsten), Biskupice i Pasym do Dąbrowy i Działdowa. Powiaty przez Mazurów zamieszkałe, są: niborski, szczycieński, ządzborski, margrabowski, łecki, lecki, jaśnborski, a po części węgoborski i gołdapski. Według Weissa[3]) siedzą Mazurzy sporadycznie i w południowej części powiatu darkiejmskiego. Powiat niborski i szczycieński należą do obwodu regencyi królewieckiej, wszystkie inne do gąbińskiej. Obszar kraju, przez Mazurów zajętego, dochodzi 20 mil kwadr. [4])

Kwestyą pochodzenia i narodowości Mazurów zajmowali się: Dr. W. Kętrzyński: „O ludności polskiej w Prusiech

[1]) Malten. Bibliothek t. 1 str. 28.

[2]) Rozprawa w „Wiener Jahrbücher“ (Anzeigeblatt Nr. 46).

[3]) Zob. Preussisch Littauen und Masuren II, 215.

[4]) Zob. Słownik geograficzny.

niegdyś krzyżackich“, Lwów 1882. Tenże: „Nazwy miejscowe polskie Prus Zachodnich, Wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckiemi“. Lwów 1879 (w dziele tem podaje kilka szczegółów bibliograficznych). Dr. Toeppen: „Geschichte Masurens“, Gdańsk 1870. Weiss: „Preussisch Littauen und Masuren“, Szubert, Pisański, Ossowski i inni.

O Mazurach z punktu etnograficznego pisał Dr. W. Kętrzyński: „O Mazurach i zbiór pieśni ludu mazurskiego“, Poznań 1872. Dr. Toeppen: „Aberglauben aus Masuren mit einem Anhange enthaltend masurische Sagen und Mährchen“. Gdańsk 1867.

Do nich więc odsyłam ciekawych po bliższe szczegóły odnoszące się tak co do samego pochodzenia, jakoteż stosunków politycznych i etnograficznych Mazurów. — Obecnie bowiem chodzi mi tylko o podanie źródeł, z których Mazurzy czerpali życie duchowe.

Biblia, kancyonał, postylla, w najlepszym razie książeczka z powiastkami lub wierszami — oto wszystko, co stanowiło strawę duchową Mazura. Najpospolitszą czytankę stanowiły kalendarze, o czem zresztą dziś jeszcze wśród ludu wiejskiego przekonać się można. Drukowane były gotykiem, pisane językiem polskim, ale jaką polszczyzną! — Germanizmy, błędy gramatyczne, dziwne, częstokroć niezrozumiałe wyrażenia i zwroty, każą nam się domyślać, że autor albo nie wiele umiał po polsku, albo też, ze słownikiem w ręku, tłumaczył artykuły z pism niemieckich.

Przypatrzmy się bliżej zawartości niektórych z tych „przewodników“ duchowych.

„Kalendarz królewsko-pruski na rok po narodzeniu Pana Chrystusa (1848—62) który jest rokiem (zwyczajnym, przybyszowym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. Kalendarz astronomiczny i kościelny dla prowincyi Prus i jej południka z Królewca, jako też oznaczenia dni jarmarkowych podług królewskiego kalendarza normalnego na rok... oddrukowany“. We Łku, nakładem i drukiem W. Mencla.

Na początku rocznika 1853 r. znajdujemy pieśni „Na nowy rok“ i „W święto żniw“. Pieśń na Nowy Rok powtarzająca się i w kilku innych rocznikach, zaczyna się od słów:

Tobie bądź, Panie, chwała wszystkiego świata,
Żeś nam dał doczekać nowego lata,

Daj abyśmy się wszyscy odnowili,
Grzech opuściwszy w niewinności żyli.

W przeglądzie politycznym z ubiegłego roku p. t. „Z lat przeszłych, w dzień narodzenia Jego królewskiej Mości 15 października“, spotykamy ustęp pisany przez W. M., odznaczający się bardzo niedołężnym językiem polskim. — Czytamy tam: „Pamiętnik sam jest piękne dzieło czułości, początek mające od zastępów prowincyi a wystawione z powszechnej dobrowolnej składki wiernych obywatelów jej. Z błyszczącego kruszcu dobytych działów lany, wysoko stojący na świecąco szlifowanym kamieniu granitowym, wystawia króla w mundurze jeneralskim a w fałdzistym płaszczu królewskim, siedzącego na wybornym koniu, na głowie mającego wieniec laurowy“.

Interesujący jest traktat o Z a b o b o n a c h. Z artykułu tego dowiadujemy się o poglądzie autora na czary. Rzecz ta o tyle nas interesuje, iż dodana do tego, co już powiedział o czarach i zabobonach R y s z a r d B e r w i ń s k i w swych „Studyach o literaturze ludowej“, (Poznań 1854), oraz w „Studyach o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych“ (Poznań 1862), G r a j n e r t, Ł u k a s z e w i c z, M a c i e j o w s k i i wielu, wielu innych, rzuca pewne światło na sądy, jakie u nas wydawano o pochodzeniu czarów, czarowników i t. p. w porównaniu z wiarą innych ludów. [1])

M a c i e j o w s k i w „Piśmiennictwie“ t. I. s. 222, mówiąc o czarownicach, powiada: „na łyse góry schadzając się, wiązały się w towarzystwa s ł o w i a ń s k i m z w y c z a j e m, s e j m i k u j ą c j a k s z l a c h t a i tak spojone więcej mogły, niż czarnoksiężnik pojedynczo“. Autor wspomnianego wyżej artykułu „O zabobonach“, pisze, co następuje:

„Zabobony zowią się próżne, fałszywe marne mniemania, niby próżnowiarstwa, marnowiarstwa, dziwnowiarstwa. U Egipczyków, Rzymianów i Greków była wróżba kunsztem sławnym i częścią religii pogańskiej... Kiedyśni Niemce, chcący się badać przyszłych rzeczy, przypatrywali się pewnym gałązkom i święconym białym koniom, których mieli za przyjaciele Bogów swoich. Niemce osobliwie pewnym niewiastom przypisywali dar zwiastowania przyszłych rzeczy, postępując podług rady ich. Takowe osoby Weledy lub Alruny zwane, miano w wielkiej zaczy (poszanowaniu). Zamawianie lub lekowanie jest innym sposobem pomnażania zabobonów. Za ojczyznę tych guseł będą poczytane ziemie Medske, Perske i drugie z tymi graniczące w Azyi“. [2])

---

[1]) Zob. P a m. h i s t o r. k r a j o w e. s. 325; K a r o l M i l e w s k i: O czarownicach w Polsce. Warszawa 1848.

[2]) Dla porównania zob. *Ateneum* 1884, IV. 335 i 489. Z dziejów ludzkości·

Dalej przytacza autor nauki o niektórych chorobach, a między innemi wyjaśnia nam, na czem polega choroba, różą zwana. „Róża jest zapalenie, zajmujące skórę z palącym bólem i pospolicie z gorączką połączone“.

„Kalendarz pruski na rok po narodzeniu Chrystusa Pana (1835—43), który jest rokiem (zwyczajnym, przestępnym) zawierającym w sobie (365, 366) dni. W Królewcu, drukowany u Fryderyka Thewinga“, — nie zawiera nic ciekawego.

„Domowy Przyjaciel na rok 1863 drukowany w Mohrungu nakładem C. L. Rautenberga“, zawiera oprócz „spiski jarmarków w Królewcu, w Gumbinnen, w Kwidzyniu, w Bydgoszczu i w Poznaniu“, wieniec opowieści, który zaczyna wiersz „Na nowy Rok“:

Miną lata i nastają
A my z niemi schodziem;
Dzieje polskie wydawają
Zawsze co nam dobrém.

Prócz innych, znajdujemy tu opis wesela, z którego pozwolę sobie przytoczyć jeden krótki ustęp, nie tyle ciekawy pod względem zwyczajowym, ile raczej uderzający nas swą „oryginalną“, że tak powiem, polskością:

Przed weselem odzywa się kochanek do swej oblubienicy:

„Pogawędzim sobie, ma kochano; twojej mowy chcę czatować! Głos twój słuchać już cię poczutuję za moje zbawienie. Oprócz ciebie żyć nie można. Albo ty, albo pistolet. Za jedno pocałowanie cały świat tobie kładę do nóg. Żądaj odemnie moje życie za nie, a ofiaruję ć z radością. Ach, a ten czas, gdy będziesz moja oddana małżonka! Żadnego tedy słowa surowego odemnie nie usłyszysz“.

Rocznik 1858 Kalendarza królewsko-pruskiego zawiera w „Rozmaitościach“ kilka bajek, z których niektóre, jak np. Pszczółka i gołąb, Owieczka cierpliwa, Mrówki i świercz (zam. świerszcz), są interesujące ze względu na swą treść.

W bajce „Owieczka cierpliwa“ przedstawia nam autor małą, wesołą owieczkę, która wychowywana w domu, nadzwyczaj się podobała wszystkim. Lecz to tak długo trwało, jak długo owieczka była mała. Skoro podrosła, wypędzono ją do stajni. Jakoż i tu nie źle jej się powodziło. Wnet oswoiła się ze swym losem i znów była wesołą, znosząc bez szemrania nawet nożyce owczarza.

Bajka kończy się napomnieniem:

Ucz się z młodu być cierpliwym,
Choć ci krzywdę drugi zrobił.
Odpuść chętnie — być cnotliwym,
To człowieka nader zdobi.

Rocznik 1855 tegoż kalendarza notuje pieśń ludową, śpiewaną przy okrężnem. Pieśń ta z małymi tylko wyjątkami jest powszechnie znaną wśród naszego ludu [2]) a zaczyna się od słów:

Plon, niesiem plon
Ze wszystkich stron,
Oto z niwnym wiankiem
Idziem raźni żeńcy,
Com to wyszli rankiem
Dziewki i młodzieńcy,
Plon, niesiem plon i t. d.

Wszystkich zwrotek jest dwadzieścia ośm.

Nierzadko też spotyka się pieśni opiewające jakieś zdarzenia historyczne, jak np. w kalendarzu na rok 1857 jest wiersz p. t. Mor w Prusach 1709.

Miła Pruska ziemio, łzami się oblewaj
„Rozżalże się Boże“ mów — a smutnie śpiewaj,
Pomiąc na to, jak śmierć czyściła te kąty
Gdy pisano tysiąc siedemset i dziewiąty.

Zaraza musiała bardzo grasować, skoro ciała umarłych poniewierały się nie pogrzebane po ulicach i gościńcach.

Jeźli też który padł morem zarażony,
Żeby się kto przyjął, trudno znaleziony,
Tak długo tam leżał, aż się kto zmiłował,
Że śmierdzące trupy zaledwie pochował i t. d.

Rok 1859 przynosi zmianę w tytule i zamiast Kalendarz królewsko-pruski, nazywa się teraz: „Łecki kalendarz gospodarski“, w którym najwięcej miejsca poświęca się sprawom gospodarskim, a po nich dopiero następują bajki, powieści i t. p.

Prawie równocześnie z kalendarzem „łeckim“, wychodził w Jańsborku kalendarzyk p. t. „Prawdziwy Prusak ewangielik. Religijno-patryotyczny kalendarz na rok.... wydawany przez A. Gąsiorowskiego“. Johannisburg, nakładem i drukiem Antoniego Gąsiorowskiego. 16⁰, od 1866 roku 8⁰ w nakładzie Ernesta Lambecka w Toruniu.

---

[2]) Zob. Kolberg: Krakowskie, Poznańskie i t. d.

Już z samego tytułu można poznać, że przewodnią ideą tego pisma będzie propagowanie niemczyzny wśród Mazurów. I o ile w poprzednich kalendarzach widzieliśmy niedołężne zwroty i wyrażenia polskie, tu spotykamy już germanizmy i wyrazy brane żywcem z języka niemieckiego np.: Kalendarz na rok 1857 w artykule „Zegarek duchowny“ używa całego szeregu wyrażeń i zwrotów obcych, jak: „gdy zegar jeden bije“, albo „o dwa zegar“ (po niem. um zwei Uhr) i t. p. Autor podaje tu szereg artykułów i dat tyczących się najważniejszych wypadków z historyi Prus, jak np. „Dzień 31 października, początku reformacyi, czyli oczyszczenia albo poprawienia kościoła Bożego“, albo: „Dzień 15 października narodzenie Najjaśniejszego Króla i Pana naszego Fryderyka Wilhelma IV“, „Dzień 24 stycznia, pamiątka narodzenia Fryderyka II. (Wielkiego) ś. p. króla pruskiego“.

Znajdujemy tu także i pieśni prusko-patryotyczne, z których nie będzie od rzeczy przytoczyć w całości pieśń na urodziny królewskie:

Królowi chwała, szczęście,
Tak, szczęście od Ciebie
Ty Boże, który wszędzie
Go bronisz w potrzebie.
Nowy rok życia Jego
Dałeś mu zaś Panie,
Więc z miłosierdzia swego
Przyjmij dziękowanie.

Tyś go na przykrej drodze
Łaskawie prowadził
I częstoś w wielkiej trwodze
Królowi doradził.
Ty wziąłeś serce Jego
Pod swoją obronę
Cieszyłeś stroskanego
Strzegłeś jego tronu.

Słowa Twoje są Jego
Posileniem, Boże,
On słucha i Twojego
Przykazania strzeże.
On z serca lud miłuje
Jego cześć, cześć nasza.
On z ludem boleść czuje
Dla niego uprasza.

Więc dziś od Ciebie, Panie,
Lud pruski z pokorą

Oj daj mu długie trwanie
I bądź mu podporą.
My zaś ślubujem wiecznie
Stać za naszym Panem
Trwać w szczerości statecznie
Daj to Boże, Amen.

Widzimy z powyższego wiersza, jak usposobiony jest lud mazurski wobec swego władcy, jak czuje, jak myśli i niestety, możemy odgadnąć, jaka jego przyszłość, zwłaszcza gdy przeczytamy wiersz w kalendarzu na rok 1860 a następnie 1861. — Nie chce się poprostu wierzyć, aby możliwem było, by przodownicy ludu, sternicy jego dusz, wlewali w niego tak zatruty pokarm, by sprowadzali go z prostej, uczciwej drogi na manowce. A jednak tak jest.

Pieśń ułożona na pamiątkę dnia 27 stycznia 1859 roku zawiera w sobie następujące zwrotki:

„Chociaż po polsku mówimy,
Rząd pruski sobie chwalimy,
Bo rząd pruski sprawiedliwy
Ku poddanym dobrotliwy.
Polacy w Królestwie Poznańskiem
W Szląsku, w kraju Pomerańskiem
I w Prusach Ciebie witają
Bogu cześć winną oddają.
Polakami nie pogardzaj
I kraje tylko objeżdżaj
Toby ich wielce cieszyło
Miłość ku tobie mnożyło.
Oni co hołd oddawają
Pieśni radośne śpiewają
Królewiczu urodziwy
Radość wielka — to nie dziwy“.

Pod pieśnią czytamy: „powyższe wiersze patryotyczne na pamiątkę urodzin Prynca Pruskiego, który za łaską Boga czasu swego będzie królował w kochanej ojczyźnie naszej, nadesłał pewien szanowny kapłan z W. Ks. Poznańskiego“.

Prócz powyższego peanu, znajdujemy tu jeszcze dwie inne pieśni, tłumaczone z niemieckiego.

Pierwsza z nich zaczyna się od słów:

Najpierwszą pieśń, królu Tobie, śpiewać ja powinny,
Boś obrońcą, twierdzą mocną dla naszej ojczyzny...

Druga rozpoczyna się:

Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka...

a kończy się:

Co jego ojcowska wola przed lud swój dla dobrego
Wymądrzyła, niech to pełni każdy z serca szczerego.
To tedy błogosławieństwa wiele każdy użyje,
Jeszcze Fryderyk Wilhelm, król nasz żyje, nam Bogu dzięka...

Nic też dziwnego, że korespondent ze Śląska austryackiego wyraża swe zadowolenie, że pan Gąsiorowski wydaje „Prawdziwego ewangielika polskiego", którego wita wierszem i prozą.

Kalendarz na rok 1861 przynosi jeszcze pożyteczniejsze pieśni, bo hymn narodowy pruski. I tu już p. Gąsiorowski pokazał, kim jest, jak myśli.

Boże, coś Prusy przez nieliczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś je zasłaniał tarczą Twej opieki
Od nieszczęść, które przywalić je miały,
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Prawo słuszności daj nam poznać Panie.
Ty, któryś potem tknięty ich upadkiem
Walczące wspierał za najświętszą sprawę,
A chcąc świat cały mieć twych sądów świadkiem,
W rozbiorze Polski pomnażał ich sławę.
Przed Twe ołtarze i t. d.
Boże, którego ramię sprawiedliwe,
Złociste berła władców świata kruszy,
Zniszcz wrogów naszych zamiary szkodliwe,
Obudź uczciwość w każdej pruskiej duszy.
Przed Twe ołtarze i t. d.
Boże najświętszy, przed Twojemi cudy
Kiedy chcesz, znikną żądze złego boju,
Węzłem pruskości połączysz Twe ludy
Pod jedno berło pruskiego pokoju.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Sprawiedliwości naucz Prusy, Panie.

Dziwnie od poprzedniej „pieśni" odbija się artykuł ze Śląska austryackiego, zamieszczony w roczniku 1865, w którym autor wyraża się w ten sposób:

„Zapewnie przyszliby i co do poznania opacznego mniemania swego, którzy myślą i sądzą, że człowiek umiejący cokolwiek język niemiecki już jest człowiekiem wyćwiczonym i mądrym. Jeżeli wyćwika i mądrość od znajomości niemieckiego] języka zależy, na cóż niemcom szkoły? Wzdyć już tam małe dzieci, nawet i pasterki z przyrodzenia po niemiecku mówić umią! A jeśli się polskie dzieci dla jakiegoś pożytku, zwłaszcza dlatego po niemiecku uczyć mają, aby się z niemcami porozumieć mogły, czemuż dla tego pożytku niemieckie dzieci po polsku się nie uczą? Czy wielka część ludu niemieckiego nie ma z ludem polskim do czynienia? żyjąc nawet między nim. Czemuż niemieckie

dzieci nie marnują młodego wieku swego na nauce cudzego języka, jako się tego od polskich dziatek domaga, a przez co one inne potrzebne wiadomości zaniedbywać, lub całkiem opuszczać muszą? Z tej przyczyny też śmiało rzec można, że przytrzymywanie polskiej młodzieży do nauki języka niemieckiego jest największą zawadą i przeszkodą do podniesienia się ogółu ludu polskiego na wyższy stopień oświaty i doskonałości umysłowej".

Co wpłynęło na p. G., że umieścił powyższy artykuł, nie wiadomo. Wszak chyba wiedział, że rząd pruski chwyta się jak najradykalniejszych środków, aby język polski usunąć ze szkół, że nawet w ówczesnych podręcznikach szkolnych można było czytać zdania, jak:

„Ziemt es denn dem Preussen, dem Bewohner eines deutschen Landes, seiner Sprache nach ein Pole bleiben zu wollen? Sie ist ein slawischer Eindringling, der auf preussischem Boden nicht geduldet werden muss"

albo:

„Nie haben diese Landschaften zu Masuren oder zu Masovien gehört, und wenn die polnische Sprache in diesen Gegenden l e i d e r noch immer die vorherrschende ist, so ist diese klägliche Erscheinung nur aus der Grenznachbarschaft mit Polen zu erklären".

Kalendarz na rok 1867 podaje między innemi „Pieśń od jednego Landwermana dzień po tej wielkiej bitwie pod Koeniggrätz to jest 4 Juli napisaną, a od G. Schulz w Jańsborku na polski język przetłumaczoną".

Pieśń ta wychwala dzielność i odwagę żołnierzy pruskich: „Prusak umrze, jednak się nie podda".

Już w roku 1870 widzimy inny tytuł tegoż kalendarza. Redaktorem jego jest L a m b e c k, a rocznik nazywa się teraz: „E w a n g i e l i c k i k a l e n d a r z n a r o d o w y".

Oto co pisze 1870 o W. Ks. Poznańskiem: „Jeżeli Niemiec wśród swej ojczyzny posłyszy wzmiankę o W. Ks. Poznańskiem, wystawia sobie, że tam nie masz nic do znalezienia nad płaszczyznę, piasek, tu i owdzie cokolwiek boru, małe mieściny i nikczemne wioski. O licznych historycznych starożytnościach naszych miast najstarszych mało co jest wiadomo. I jakże też inaczej być może, gdy w prowincyi samej jeszcze tak dużo znajduje się mieszkańców, którzy nic o tem wiedzieć nie chcą. Także przyjemne brzegi naszych niezliczonych jezior, krajobrazy wzgórzystych okolic, na których prowincyi naszej nie zbywa, mało co są znane".

K a l e n d a r z L e c k i, tak zwany od miasta Lec, (Lötzen) wychodzący od roku 1858 pod redakcyą p. G e r s s a, nosi tytuł: „K a-

lendarz królewsko-prusko-ewangielicki". Treść jego jest ściśle antykatolicka i antypolska. Artykuły odnoszą się po największej części do rodziny cesarskiej, sławiąc życie i czyny poszczególnych członków domu pruskiego, jak n. p. następcy tronu:

Kronprync nasz zowie się Frycem
A ten rzeże, jako biczem
I wojuje mocą lwią.
Wert i Wysembork powiada,
Jaką krzepę on posiada,
Tam pisalim dobrze krwią.

Kalendarz z roku 1876, pisząc o pielgrzymkach katolików, powiada, że „przeszkadzają robocie i ludziom pilnie pracującym, a co gorsza, to napadają czasem ludzi spokojnie idących". W innych artykułach wyśmiewa papieża i papieżników.

Redaktor Gerss, o ile nie przewyższa Gąsiorowskiego, to mu napewno w niczem nie ustępuje w swych uczuciach pruskich.

W wierszu z 1880 r. podaje „króciuchny opis życia Najjaśniejszego cesarza niemieckiego i króla pruskiego Wilhelma I., który dnia 22 marca 1879 r. 82 lat wieku swego dokończył".

Ośmdziesiąt i dwa latek przeminęło
I w morze wieczne lotem upłynęło,
Gdy król i cesarz z nieba nam jest dany,
I z łaski Bożej na ten świat przysłany.

Cały ten wiersz składa się z 44 zwrotek.

Tym sposobem rozpatrzyliśmy pokrótce treść niektórych kalendarzy i przekonaliśmy się, w jakim duchu były pisane i jaki był ich cel. — Że wywierały one jak najniekorzystniejsze skutki, że były trucizną moralną dla czytelników, że torowały drogę hakatyzmowi i zdążały do zgermanizowania Mazurów — zbytecznem byłoby mówić.

Częstokroć sam autor odczuwał, iż pisząc po polsku popełnia dużo błędów pochodzących z nieznajomości języka. Toteż w jednym z przytoczonych powyżej kalendarzy czytamy:

Czytelniku nie bacz nadto na błędy,
Jeszcze nie było ksiąg; ni co je wydał wszędy,
Ni co je kupił, ni co je czytał
Wolności od błędów używał.

O języku i stylu można sobie łatwo wyrobić zdanie, choćby z przeczytania jednego tylko ustępu.

Franciszek Gawełek.

Z PRZESZŁOŚCI SŁOWIANOFILSTWA W POLSCE.

(lata 1866—67).

Ognisko, „przegląd polityczny, historyczny i literacki spraw polskich i słowiańskich“, wychodziło w Bruksellі 1866 r. (zeszyt I w styczniu a II w lipcu), z godłem: „Zestrzelmy myśli w jedno ognisko i w jedno ognisko duchy“. Redaktorem jego był Leon Zienkowicz, a współpracownikami Edmund Chojecki i Wiktor Heltman. Miało wychodzić co miesiąc, ale nie znalazłszy czytelników, poprzestało na dwu zeszytach formatu większej 8-ki, str. 66.

Credo polityczne wypowiedziano w artykule wstępnym Edmunda Chojeckiego p. t. „Czem Słowiańszczyzna dziś, czem jutro?“ Piękne słowa tego programu, określające wyraźnie stanowisko Polski w Słowiańszczyźnie, i dziś jeszcze z bardzo małemi zmianami możnaby powtórzyć.

Polska — ten „apostoł swobody, równości i braterstwa, powołując Słowiańszczyznę do serdecznego sojuszu, walczy o własne wyswobodzenie, o swobodę wszystkich Słowian, temsamem zaś podaje prawicę wszystkim innym okutym ludom, — gdyż dla wolności jednego wolność wszystkich jest konieczną rękojmią“. Ideałem zaś caratu „wchłonięcie w siebie wszystkich żywiołów Słowiańszczyzny, naprzód dla zadławienia wszelkiego promyka wolności u jednoplemieńców, następnie dla skupienia zjednoczonych sił na krucyatę przeciw Zachodowi. Z jednej więc strony — Polska niesie Słowiańszczyźnie zapas moralnych potęg ku rozwinięciu materyalnych jej sił i ku wskrzeszeniu wspólnej i ogólnej swobody, podczas gdy z drugiej strony — Moskwa morderczą stopą dławi wszelkie moralne zasady, wyczerpuje wszystkie siły materyalne na ostateczną zatratę wolnego ducha. Polska wszystko daje Słowiańszczyźnie, Moskwa ze wszystkiego ją odziera“... „Słowiańszczyzna pod wodzą Polski występująca do bytu, grozi zapewne dzisiejszemu szykowi europejskich stosunków, zgruchoce bezwątpienia strupieszałą rzymsko-germańską ideę państwa; ale natomiast wieńcząc narodowość i Lud, wyszlachetnia społeczeństwo i wywoła nowy porządek, oparty tym razem na rzeczywistej swobodzie, na prawdziwej równości i na serdecznem braterstwie. — Słowiańszczyzna pod hersztowstwem Moskwy, również o zgubę przyprawi obecny stan rzeczy w Europie, ale na rumowisku zatknie proporzec azyatyckiego caratu“.

O Słowiańszczyźnie traktuje i artykuł drugiego współpracownika, Wiktora Heltmanna p. t. „Polska i Słowiańszczyzna pod historyczno-jeograficznym i statystycznym względem“.

W r. 1866 i 1867 wydawał Kornel Piller we Lwowie *Sioło*, „pismo zbiorowe poświęcone rzeczom ludowym ukraińsko-ruskim“. Niedługo wprawdzie wychodziło, ale jego cztery zeszyty (8^0 po str. 192) są trwałym pomnikiem ówczesnych najszczerszych pragnień zażegnania burzy i waśni między dwoma bratnimi narodami w Galicyi, na tle wzajemności słowiańskiej.

Stanowisko swoje zaznaczyło *Sioło* w słowie wstępnem pierwszego numeru temi słowy: „Pracujmy dla ludu! w nim przyszłość nasza... Światło prawdy wiedzie nas, miłość drogą naszego pochodu. Chcemy, by mir zapanował w plemieniu Słowian".

Z tego stanowiska wychodząc postanowiło dążyć do zapoznania czytelników z piśmiennictwem ukraińskiem, przedstawiającem życie, zwyczaje i obyczaje ludu, a nadto ogłaszać wiadomości o ruchu piśmienniczym w Słowiańszczyźnie.

„Piśmiennictwo ludowe ukraińskie — mówi słowo wstępne — to cudna wiązanka kwiecia z stepowych mogił świetnej przeszłości, to łzy i jęki milionów, to potęga przyszłości ludu, tak skromnie osłonięta łzawą nutą dumki-płaczki kobzarza. Jakże wielkie, choć zda się ubożuchne postacie Tarasa, Kwitki. Wypowiedzieli cierpienia ludu, odsłonili nam piękno duszy ludowej".

Słowa te zupełnie wystarczają do poznania sercowo-poetycznego tonu pisma, które chcąc „społeczeństwo ruskie wysnuć z niemowlęcych warstw ludu", postanowiło pracować nad podniesieniem jego dobrobytu, ale pracę tę pojmowało w duchu Adama Czarnockiego i stąd popadało w pewną jednostronność, bardzo piękną, ale czy praktyczną — to inne pytanie.

Miało jednak *Sioło* i pewne cele polityczne: „Jak u Moskali, są i między nami tacy, którzy odmawiają praw narodowości ukraińsko-ruskiej, pragną spolszczenia tych milionów..., ale i w interesie osobistym naszym narodowym leży potrzeba dopomagania rozwojowi narodowości, o jakiej mowa. Wszystkim wiadomo, że panslawizm rosyjski, w swych zachceniach tak groźny Słowiańszczyźnie, głównie opiera się na samozwańczem fińsko-mongolskiej Moskwy uznawaniu się słowiańską Rusią wpierw, Wszech-Rusią później, a Rosyą teraz. Jeżeli więc drogą badań tak historycznych jak i piśmiennych wogóle, rzeczywista Ruś zdoła przyjść do praw swych narodowych, gdy przekona świat cały, że jest narodowością osobną, nic z Rosyą wspólnego nie mającą — tem samem panslawistyczne zachcenia Moskali runą, gruntu pod sobą nie mając i żarłoczność Moskwy poskromioną zostanie. Rosya powiada, że Rusi niema, jako narodowości odrębnej; dowiedźmy jej, że ma się rzecz przeciwnie, że Moskwa tylko przywłaszcza sobie prawo słowiańskiej Rusi, — a obaczymy, że odchyli się od Europy i między nią a Zachodem stanie mur nie przebyty — Ukraina-Ruś słowiańska... Robić możemy i powinniśmy, zważając nawet na osobisty nasz interes. Pomagajmy narodowemu rozwojowi ludu Ukrainy-Rusi — on bowiem jest zapowiedzią lepszych dni przyszłych".

Zapatrywania na stosunek Rusi do Polski określiła redakcya bliżej (w zesz. III str. 135) w artykule: „Sprawa rusko-ukraińska", wykazując, że od porozumienia się wzajemnego zależy przyszłość Polaków i Rusinów. Ten stosunek Rusi do Polski radzi *Sioło* urządzić „na podstawach autonomii Rusi i jej jedności politycznej z Polską. Wykładnikami pierwszej są: całkowita swoboda narodowego rozwoju, samoistne urządzenie się wewnątrz. Interes dobrze zrozumiany nakazuje Rusi-Ukrainie pozostawać w jedności z Polską. A to dla następujących powodów: 1) Ruś pod względem politycznym jest niewyrobiona, ostać się zatem na stano-

wisku niepodległości wobec zaborczej Moskwy nie zdoła; 2) Moskwa, państwo zaborcze z ducha i instytucyj swoich, dręczona żądzą podbojów, usiłuje wszystkie obce swej naturze pierwiastki zasymilować; 3) Ruś, lubo pod względem umoralnienia wyżej stoi od Moskwy, niższą jest przecież od niej pod względem cywilizacyi materyalnej — a więc wcześniej czy później ulegnie pod naciskiem moskwicizmu i wynarodowi się; 4) Polska pomimo wszystkich wad swej przeszłości zaborczą nigdy nie była, od wynaradawiania łączących się z nią ludów nie dążyła nigdy; 5) Pomiędzy Rusią a Polską istnieją najżywotniejsze łączniki, które bez szkody obu nie dadzą się zerwać. Łączniki te polegają (między innemi) na wspólnym interesie zabezpieczenia się od Moskwy, grożącej zarówno narodowości polskiej i rusko-ukraińskiej. — Autonomia przeto Rusi i polityczna jej jedność z Polską — to są podstawy, które polityka dobrze zrozumianego interesu podaje do rozwiązania sprawy rusko-ukraińskiej. Forma tej jedności zależeć będzie od wzajemnego porozumienia się, od okoliczności, wśród których ma przeprowadzać się; trwałość zaś jej i szczerość od rozsądku stron obu i podtłumienia namiętności, które obce poduszczenia podsycają".

Nieznanym autorem tego artykułu, nadesłanego z Paryża jest W. K. [1])

Równocześnie nie spuszczało z oka *Sioło* spraw słowiańskich, apelując, „ażebyśmy Słowianie poznali samych siebie i zjednili się z bracią; czas wielki, by Słowianin, brat do brata, umiał jego mową ojczystą przemówić — toż najusilniej starać się nam potrzeba, by w szkołach i na uniwersytetach naszych uczono nas wszystkich mów słowiańskich" [2]); ale i tu nie porzucało swego tonu poetycznego, odzywając się temi słowy: „My to plemieniem, milionowemi piersiami śpiewamy wielką pieśń przyszłości, myśmy to słowem i harmonią... Zrozumiejmy raz, że ojczyzną naszą ziemia, którą zasiedlają bracia, a bracią naszą synowie jednej matki, a tą macierzą — Słowiańszczyzna. Od morza Czarnego i Adryatyku, od Bałtyckiego do Marmara niech się zejdą bratnie dłonie i spoczną na sercu wspólnej ojczyzny. Wtedy w milionowy głos krzykniemy: „sława" i sława będzie w nas i z nami. W Słowiańszczyźnie naszem główną potęgę stanowi lud; w nim siła, w nim potęga nasza. Każden więc objaw życia ludowego, każde usiłowanie, by go sprowadzić w pewne ustalone koleje, któreby go uczyniły bardziej potężnem — witać nam radością, witać sercem całem".[3])

Obok tych artykułów polskich, określających zasady wydawców, drukowane były w *Siole* w języku ruskim, ale pisownią łacińską, i to w większej stosunkowo ilości — utwory Szewczenki np. Neofitka, Najmyczka, Kateryna; Mistrzanka, komedya Łobzowskiego; Instytutka, powieść Wowczka; Praznyk u Takowi Fedkowycza; przekład kroniki Nestora na dzisiejszy ruski język itp. Dla ułatwienia zrozumienia tych utworów ruskich dodany był do każdego zeszytu słowniczek wyrazów mniej zbliżonych do polskiego.

Rusini z niechęcią i niedowierzaniem patrzyli na *Sioło*, widząc w niem nowe sidło ze strony polskiej na naród ruski, jak świadczą listy ruskie do redakcyi skierowane. [4]) *Ed. Kołodziejczyk.*

---

[1]) III zesz. str. 135.

[2]) Strona 181.

[3]) III zesz. str. 171.

[4]) zesz. II str. 174.

ŁUŻYCKI PRZEKŁAD PIEŚNI „JESZCZE POLSKA"
z roku 1842.

Zasłużony Cypryan Jarochowski († 1863, ojciec Kazimierza historyka), dyrektor ziemstwa w Poznaniu, był słowianofilem i pozostawał w stosunkach z wielu wybitnymi pobratymcami, między innymi też ze sławnym Łużyczaninem Smolerem. Z korespondencyi tej użyczono nam łaskawie oryginału listu Smolera z r. 1842, który poniżej przytaczamy, z przekładem pieśni legionów. Dokonał go prawdopodobnie sam Smoler. Czy lud łużycki spiewał tę pieśń — pozwalamy sobie wątpić. Zapewne Smoler próbował wprowadzić ją w użycie wśród znajomych i młodzieży, z którą się stykał i na tej podstawie pisał, że „nasz lud serbski pienij ją także" — a z prób tych wyłoniło się następnie co innego, a mianowicie nie przekład, ale łużycka parafraza pieśni, zastosowana do stosunków łużyckich; naśladowanie, które stało się rzeczywiście hymnem narodowym Łużyczan i śpiewa się również na nutę pieśni legionów: „Hišśće Serbstwo nje zhubjene" (przez Zejlera).

Przekład Smolera, nieudolny, ma jednak wartość dla historyi języka; jest też dokumentem do historyi słowianofilstwa wogóle, a polskiego w szczególności. Toteż uważamy za stosowne przytoczyć go wraz z całym listem, dziękując właścicielom oryginału za łaskawą pamięć o naszem piśmie.

Adres brzmi:

Wulkej Wosebności
Kneża krajneho Direkterja
z[1]) Jarochowski
w
Poznanju.

Tekst listu:

Welce osebny Kneże!

Prijsełam Wam tą razą piejsnicke znaną u Was pod nazwukem: „Jestże Lechia nie prepała". Nasz lud serbski pienij ją także, bo on jest bratią waszego; ta pesnicka tak się ryczy:

1.
Jestże Lechia nie prepała,
Dopók'my żyjomu,
Szto nam siłku obcych wziuła
Siłku odbieruma.

---

[1]) Germanizm — „von Jarochowski"; widocznie Smoler w tej formie poznał najpierw to nazwisko, a przez grzeczność nie chciał opuszczać szlacheckiego „predykatu". Nasi demokratyczni pobratymcy do dziś dnia przestrzegają z największą skrupulatnością tego, co w „arystokratycznej" Polsce wydałoby się komicznem. Czeski Jarochowski nazywałby się też nie „Jarochovský", ale „rytíř z Jaróchovců", a chorwacki pisałby się i byłby pisany „plemenik (szlachcic) Jarochowski". Ten sposób pisania nazwisk bywa wśród tych „demokratycznych" społeczeństw przestrzegany święcie i nikt nigdy nie opuści ani *z*, ani sakramentalnych pomiędzy imieniem a nazwiskiem liter: *pl*.

2.
Paszoł, paszoł sztna młodiu,
Dubrâwski nam prewodiu—
Za jego prowadu
Budiemy narodu.

3.
Prejdem Memel, San i Bartu
Chnucić chwatnu menstwu,
A zapełnium diejków strunę
Skonu lub zwycienstwu.

4.
Paszoł, i t. d.

5.
Tak jest prepał'm lub zwyciężum
Z głosum wszystki razem;
Paszoł bratia, chto jest mużem
Do walku z żelazkom.

6.
Paszoł i t. d.

7.
Szto nam rany, szto nam bliznu,
Szto zguba każdaka,
Żyć a prepât dla Ojczyznu
Szto gasłô Lecł itâ.

Knižków Wam jestże nie prijsełam, bo od knihara ich nie mam. Professiar Purkiniji Waszej wosebności wiele dobreho prajić dał. Dowiediałem się także że za starunką Waszej wosebności moje kniżki predane budą. Są także pono u Was prelekcye diejków Sirbów wót professiara Moraczewskeho, a o nas także prajił.

Wasz służobnik

Smolijer.

W Wratijsławiu, 23/1 42.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Prasa **ruska** galicyjska traci coraz bardziej w porównaniu z ukraińską. Po trzech latach względnej swobody okazuje się już dziś na pewno, że właściwego ducha Rusi szukać należy z tamtej strony kordonu i że halicka Ruś wywiera minimalny tylko wpływ na ogół ziem ruskich.

Gdy zniesiono barbarzyński zakaz sporządzania druków ruskich pod panowaniem rosyjskiem, obowiązujący od r. 1876 aż do 1905, posypały się pisma i dzienniki ruskie, jak z rogu obfitości. Pierwszym był *Chliborob* w Łubinach w Połtawszczyźnie, drugim tygodnik *Ridnyj Kraj* w Połtawie (przeniesiony następnie do Kijowa). Niedługo wychodziły w Kijowie *Hromadska Dumka, Borotba, Szerszen, Słowo*; w Odessie *Narodni Sprawy i Wisti;* w Jekaterynosławiu *Zaporożja* i *Dobra Porada*; w Charkowie *Słobożańszczyna* i *Wilna Ukraina;* w Petersburgu *Nasza Duma* i *Ridnia Sprawa* Pisma te były przedmiotem stałych szykan ze strony urzędów i upadły. Nie z każdem z nich sympatyzowalibyśmy. Było tam sporo agitacyi czerwonej, dla której język ruski miał znaczenie o tyle tylko, że z jego pomocą łatwiej trafić do szerszych warstw. Nie brakowało pism, których redaktorom obcą jest wszelka idea narodowa, a jedynym celem wywrót społeczny. Trzeba więc liczyć się z tą okolicznością, że prasa ukraińska okazałaby się znacznie czerwieńszą, gdyby istniała wolność prasy i gdyby nie mądrość czynownicza, której się zdaje, że propaganda socyalistyczna ustała, skoro nie ma swych pism. Nie uważając więc społeczeństwa ukraińskiego za wolne od czerwonych utopij, ani propagandy tej za nic dodatniego — stajemy jednak na tem stanowisku, że w państwie praworządnem wolno każdemu wyznawać jawnie i propagować utopie, jakie mu się żywnie podoba, byle tylko nie bezpośrednio przeciw bezpieczeństwu osób i mienia.

Z pogromu prasy ukraińskiej ostały się dwa główne pisma, tygodnik i dziennik. Tygodnik *Ridnyj Kraj*, przeszedłszy też przez rozmaite kłopoty i przemiany, prosperuje dobrze. Redaguje go p. Ołena Kosaczowa (pseudonym Ołena Pcziłka), siostra Dragomanowa i wyznawczyni jego poglądów — ale daleka od jakiejkolwiek „propagandy czynu" pracowniczka kulturalna. Reprezentuje ona czysty dragomanizm, z głęboką wiarą w zdolności twórcze ludu [1]) i z politycznym programem federacyi słowiańskiej, której kamieniem węgielnym ma być porozumienie polsko-ruskie. Stąd życzliwość jej dla Polaków i wprost dla idei narodowej polskiej, czego nieraz złożyła dowody. — Galicyjskich dragomanistów typem i przykładem są pp. Trylowski (założyciel pokuckich „Siczy") i Budzynowski. Różnica kapitalna!

Prasę codzienną reprezentuje kijowska *Rada* (założona 1906 r.), której możnaby zarzucić niejedno, ale przyznać trzeba, że poziom jej wyższy od pism ruskich w Galicyi. Programu politycznego jasnego nie ma, a zwłaszcza jest bałamutną w stosunku do Polaków; często przedrukuje z *Diła* artykuł na Polaków, czasem znów chce być krytyczną, ale stoi temu na zawadzie zupełna ignorancya nietylko stosunków galicyjskich w ogóle, ale nawet spraw i stosunków samychże Rusinów galicyjskich.

W Galicyi prasa „moskalofilska" (do niedawna synonim konserwatyzmu) poszła już ogromnie na lewo.

---

[1]) Z tej wiary wypływa cały dragomanizm, który in abstracto wcale nie jest teoryą przewrotową i dlatego tak łatwo zjednywa sobie wyznawców wśród społeczeństwa, mającego stać się narodem przez lud.

Przemyski biskup gr.-kat. X. Czechowicz wydał okólnik do podwładnych mu dekanatów, w którym zwraca uwagę na szerzącą się pomiędzy duchowieństwem ruskiem tej dyecezyi propagandę prawosławia. Biskup żąda od dziekanów, ażeby podali mu wykaz imienny tych księży, którzy wzięli udział w zjeździe wielbicieli dra Dudykiewicza we Lwowie 1 listopada 1909 r. Zjazd ten większością głosów uchwalił na wniosek adwokata dra Aleksiewicza z Kosowa rozpocząć w Galicyi propagandę maryawityzmu pomiędzy Rusinami, ażeby ich oderwać od unii z Rzymem. Zabrania też okólnik duchowieństwu dyecezyi przemyskiej używać w pismach urzędowych języka rosyjskiego.

Prykarpatskaja Ruś dra Dudykiewicza pisze z oburzeniem o tym okólniku i narzeka, że „prawdziwi ruscy patryoci" w Galicyi narażeni są na prześladowania i ucisk. W związku z tem jest zapewne głos staroruskiego posła Kuryłowicza, który w Izbie poselskiej w Wiedniu uderzył ostro na biskupów gr.-kat. w Galicyi za ich „klerykalne" zapędy przeciwko „patryotycznej" działalności „des russischen Klerus in Galizien". Domagał się on także uznania w Galicyi urzędownie języka rosyjskiego za język „krajowy", jako też ustanowienia katedry języka i literatury rosyjskiej na uniwersytecie lwowskim.

Co do tego ostatniego punktu, ma zupełną słuszność. Katedra taka powinna być już od dawna i to nietylko we Lwowie, ale także w Krakowie; oczywiście nie z politycznych względów, lecz z naukowych. Brak tej katedry, to luka naukowa w naszych uniwersytetach. Traktowanie tej sprawy ze stanowiska politycznego jest niewłaściwością, a zarazem grubą pomyłką. Ustanowienie jej nie przesądzałoby niczego a niczego pod względem politycznym; byłoby faktem, nie mającym związku z polityką.

W prasie **rosyjskiej** nie zaszło nic, co pozwalałoby wróżyć pomyślniej o odrodzeniu społeczeństwa. Zacny *Mosk. Jeżeniedielnik* staje się coraz widoczniej głosem wołającego na puszczy.

Nadesłano nam numer 867 *Mińskago Słowa* z 29 listopada st. st., numer żałobny po zgonie Gustawa Schmidta. Takiej żałoby jeszcze nie widzieliśmy nigdy i dlatego opiszemy ją, chociaż będzie to spóźnione, jak na miesięczny przegląd prasy, bo Schmidt zmarł 15/28 listopada.

Któż to był taki, że *Mińskoje Słowo* przywdziewa po nim żałobę nietylko na pierwszej kolumnie, ale na wszystkich i to w sposób niebywały, bo obwodząc żałobną obwódką każdą szpaltę z osobna?

Był to Niemiec i luteranin, ów Gustaw Schmidt; oficer marynarki, skazany zą zdradę stanu (o innych przewinieniach już nie mówiąc), z którego zrobił się Michaił Karłowicz Szmid, gdy przyjął prawosławie, a gdy osiadł w Mińsku i poświęcił się specyalnie szczuciu na Polaków, wyrósł na figurę nielada, persona gratissima u góry, dostawał subwencye na swe pismo polakożercze. Został posłem do Dumy i gdy go stamtąd wykluczono dla jego przeszłości, podniosło to jeszcze bardńiej jego urok w sferach urzędowych. Faktem jest, że ten przeniewierca i zdrajca miał znaczne wpływy i dawał się porządnie we znaki... ludziom porządnym w ogóle, bez względu na narodowość. Co do nas, nietylko każdej sprawie polskiej szkodził, popierany i wynoszony za to, ale

był wyraźnie osobistością pół-urzędową, wyznaczoną do prowokowania i do wzniecania w tłumie nienawiści przeciw „innorodcom“, zwłaszcza przeciw Polakom.

„Umarł Gustaw (czemu nie Michał?) Karłowicz Szmid. Strach pomyśleć o tem, istna męka! Czyż istotnie prawdą to, rzeczywistością? O Boże, zmiłuj się nad nami! Zlituj się nad osieroconą ziemią rosyjską! Pisać nie mogę... Kurcz chwyta mię za gardło... Niema Szmida! Zapłacz rosyjski Mińsku! Zginął twój najlepszy syn, zaszczuty przez swych wrogów[1]... Boże, odpłać im to według zasługi... Nie, bo jako prawosławny chrześcijanin, winienem powiedzieć: „Dziej się wola Twoja!“

Taki jest wstęp do panegiryku na pięciu kolumnach druku dużego formatu dziennikarskiego. Kilkanaście piór pisze potem nekrologi i wysławia zasługi nieboszczyka. „Umarł kolos, umarł geniusz sprawy rosyjskie w naszym ciężko nawiedzonym kraju; umarł ten, przed którym drżała wszystka ta wraża sfora (t. j. Polacy), umarł Szmid!...“ „Nie chciało się wierzyć, żeby taki dzielny, wszechstronny działacz odszedł do wieczności, nie ukończywszy tego rosyjskiego dzieła, któremu służył w ostatnich latach“... „On kochał Rosyę szczerze, a prawdziwie po junacku i po junacku rzewnie. Z tego biednego, bolejącego, męczeńskiego serca tryskał taki nurt bezinteresownej miłości dla Rosyi — że nawet nieprzyjaciele jego skłaniali mimowoli przed nim głowę, składając hołd tej świątnicy gorących uczuć“. Współpracownicy nie porozumieli się dostatecznie i na innem miejscu czytamy, jak prasa „lewicowa“ ciskała na niego błotem, zatruwając mu życie; był nawet czas, że nie śmiał wychodzić na miasto! Na stronicy 4-tej dowiadujemy się, że śmierć jego zapowiadali już dawno lekarze, a potem czytamy: „Zagryziony, zamęczony codziennemi utarczkami, pod wpływem podłego oszczerstwa[2]), z rozdartem sercem, ze złamaną duszą, odszedł na tamten lepszy świat bohater myśli i czynu, bojownik za nasze odrodzenie narodowe. Klęska ciężka, a nieodwrotna! Od tego ciosu schnie mózg, drętwieje uczucie, nie chce się wierzyć najoczywistszemu faktowi“.. „On cały pałał, rwał się do boju za słuszną sprawę, za poniżony, bezczeszczony (przez kadetów) kraj rodzinny“... „Tragiczne życie, tragiczny koniec! Ileż hartu mieć trzeba, żeby żyć z tą świadomością, że nad tobą zawisła ręka śmierci“... „Śmierć zastała go na pełnej chwały placówce bojowej, nie składającego oręża“... i t. d. i t. d. bez końca w całym szeregu artykułów.

A jakżeż sobie poradzono z jego biografią? Dano całą drobiazgową „listę służbową“ nieboszczyka aż do roku 1889; w marcu 1890 r. „uwolniony ze służby“, był od 1901 r. do kwietnia 1906 r. rewizorem rachunkowym przy kolei żelaznej. Dlaczego musiał opuścić i służbę wojskową i potem posadę przy kolei, jakiemi-to na niego „miotano oszczerstwami“— tego się nie dowiadujemy całkiem. Dość, że po kwietniu 1906 r. stał się

---

[1]] Umarł śmiercią naturalną na rozszerzenie aorty serca, licząc lat 57. Czy może ze zmartwienia, że Polacy jeszcze są na świecie? Ależ on nie brał na seryo swojej roboty, tylko po prostu zarabiał na niej!

[2]] Zdrada stanu była swego czasu stwierdzona urzędowo i sądownie; w Rosyi zbrodniarze rehabilitują się polakożerstwem.

bohaterem i geniuszem narodu rosyjskiego, bojownikiem za jego odrodzenie!

Nie poprzestano bynajmniej na panegirykach w jednym numerze. *Mińskoje Słowo* wydzwaniało jeszcze długo „bohaterowi“ — ale nam już te próbki wystarczą. Podajemy je, jako przyczynek do charakterystyki stanu społeczeństwa rosyjskiego, do kwestyi, czy Rosya jest zdatna do tego, żeby się odrodzić w jakimś czasie, dającym się jako tako przewidzieć?

Z przeglądu prasy **czeskiej** zapiszmy najpierw artykuł *Moravske Orlice* w sprawie obchodzącej nas tu bezpośrednio:

Venkov, organ czeskich agraryuszów, umieścił korespondencyę z Krakowa o niebezpieczeńs wie germanizacyi polskiej krainy tuż pod Krakowem, a mianowicie powiatu chrzanowskiego. Na węglodajnem tem terytoryum jest 2700 t. zw. „kuksów“[1]); z czego 2200 jest w ręku pruskiem, około 500 w angielskiem i francuskiem, a w polskiem .... reszta[2]). Z 27 fabryk tego powiatu przeszło połowa jest własnością Niemców.

Bardzo niewiele „kuksów“ jest czynnych; skupiono je na spekulacyę, żeby je wyzyskać we właściwym czasie. Gdy ten czas nadejdzie — będziemy tuż pod Krakowem w zależności niemal niewolniczej od Prusaków. To samo niebezpieczeństwo grozi też powiatom żywieckiemu i zatorskiemu — o czem *Venkov* nie wie, bo i w Galicyi mało kto wie o tem, a z posłów prawdopodobnie nikt.

Korespondencyę *Venkova* pochwyciła poważna berneńska *Moravska Orllce*, i postarała się o artykuł specyalisty, znawcy górnictwa i prawa górniczego. Dr. Š....ý pisze w artykule „Germanizacya w Galicyi i u nas naszą winą“ rzeczy wprost straszne. Szacherka węglowa poparta przez parlament! Wszystko mogło być dobrze, gdy rząd wniósł 20 stycznia 1909 nowelę górniczą, obmyślaną mądrze i sprawiedliwie. Odrzucono ją. Sam parlament postarał się, żeby szacherka węglowa trwała nadal. Jedni posłowie zrobili to ze spekulacyi, inni z nieświadomości, tj. dla braku pewnego daru Ducha św. Włosy po prostu stają na głowie, gdy się czyta wywody Dra Š. Wartoby, żeby który z dzienników postarał się o tłumaczeuie całego tego artykułu. My musimy się tu ograniczyć do wniosków ogólnych:

„Rozważniejsi z Polaków lękają się wprost — czytamy w *Moravské Orlici* — co się dziać będzie, gdy zaczną tam urządzać kopalnie, a wraz z kapitałem pruskim przybędą — majstrowie i przeliczni urzędnicy pruscy. My możemy powiedzieć Polakom z góry, co się z tych okolic zrobi. Wystarcza spojrzeć na Ostrawskie, żeby zobaczyć, co zdoła narobić kapitał niemiecki w krótkim czasie w krainie na wskróś słowiańskiej. Skoro my nie zdołamy stawić czoła niemieckiemu kapitałowi — Polacy tem mniej. Wszak np. Polacy nie zdołają nawet uchwycić w swe ręce zarządu gminnego

[1]) Sprawa ta była już raz rozpatrywana w prasie polskiej. Chcących zapoznać się bliżej z interesem narodowym w górnictwie W. Ks. Krakowskiego, odsyłamy do publikacyi: „Monografia węglowego zagłębia krakowskiego“ (dotychczas Część I i II). Kraków 1908—9, nakład Związku górników hutników polskich.

[2]) Na brak kapitału polskiego nie można narzekać, skoro powiat chrzanowski jest w ręku hr. Potockich (linia krzeszowicka).

w takiej Karwinie, gdzie według spisu ludności przebywa 12.000 Polaków i około 500 Niemców włącznie już ze wszystkimi doliczonymi do nich żydami galicyjskimi i węgierskimi. Powstaną w Polsce duże wyspy niemieckie, które zawładną niebawem całemi krainami". Cytowano też zdanie niemieckiego ekonomisty Damaschkego: „Kto zagarnie kopalnie węgla w jakim kraju, ten może całej ludności dyktować warunki".

A więc „Deutsch-Galizien" nie jest czczym frazesem.

Zwracaliśmy już raz uwagę, że *Nový Věk* marzy o wznowieniu „świętego przymierza" trójcesarskiego. Raziło nas to w piśmie pod pewnemi względami postępowem[1]). Obecnie dowiadujemy się, że głosicielem tego programu, mieszczącego w sobie najnieszczęśniejszą dla całej Europy reakcyę, jest gruba ryba w czeskiem stronnictwie katolickiem, bo poseł Wacław Myslivec. Czytaliśmy w Nrze 12 dosłowny tekst jego mowy, wygłoszonej 11 grudnia 1909 podczas debaty o prowizoryum budżetowem, a w niej taki ustęp:

„Austrya ma w Niemczech wiernego sprzymierzeńca, tak się twierdzi, a Niemcy cieszą się tu w tem państwie, że mają za sobą 60 milionów Niemców z Rzeszy. Niechże sobie mają tego obrońcę w państwie niemieckiem! Skoro jednak narody słowiańskie muszą mieć takiego obrońcę zagranicznego, skoro Austrya nie jest sama tarczą obronną swych narodów, toć z czasem znajdzie się zapewne i państwo słowiańskie, z którem Austrya sprzymierzy się, żeby słowiańskie narody tej monarchii miały też swego obrońcę! (głos: Rosya!) Może niem być i Rosya, bo Austrya nie ma z Rosyą żadnych sprzecznych interesów. Przeciwnie, Austrya ma z Rosyą dużo interesów wspólnych, a walka przeciw anarchii, którą w Rosyi prowadzono długo i jeszcze się prowadzić będzie, wskazuje, że dziś mało jest w Europie państw, które mają jeszcze odwagę wszcząć walkę z anarchią. Gdy kiedyś będzie staczany stanowczy bój dwóch poglądów na świat, tuszę, że te trzy państwa: Austrya, Niemcy i Rosya, będą temi, które porozumieją się razem dla zabezpieczenia porządku wewnątrz u siebie i wspólnego postępowania w polityce zagranicznej"[2]).

Pierwsza część wywodu strasznie naiwna, a druga — brrr!!! — Metternich z różańcem u pasa! Jeżeli stronnictwo katolickie czeskie podziela te poglądy, natenczas doprawdy byłoby w interesie katolicyzmu europejskiego (do którego liczy się polski), żeby może lepiej dać spokój katolicyzmowi w Czechach? Na całe nasze przywiązanie niezłomne do katolicyzmu klniemy się, że już wolimy husytów, niż Metternichów z różańcami.

Wogóle katolicyzm czeski sprawia nam czasem niespodzianki... trochę żenujące.

W jednem ze stronnictw morawskich znowu secesya; tym razem w agrarnem. Poszło — jak zwykle u Czechów — o „klerykalizm" i „postęp". Część stronnictwa przypuszczała, że kwestye agrarne nie wymagają walki

---

[1]) Czeski czytelnik niech tego nie uważa za myłkę drukarską. Katolicyzm może być postępowy, nawet bardzo postępowy. W Polsce probatum est.

[2]) Podkreślono w oryginale.

z proboszczami, że możnaby żyć w zgodzie z księżmi, a nawet pozyskać ich wpływ dla organizacyi! Na to odpowiedziała część druga, że wrogiem rolnictwa jest, kto z księżmi się wdaje i założyła przeciw (niegdyś „postępowym“, a następnie „klerykalizowanym“) *Selskym Listom* nowe pismo *Moravsky Venkov*, celem szerzenia „postępu“ wśród chłopów morawskich, poczem nastąpiła też formalna secesya. Na czele „pokrokové strany agrarní na Moravě“ stanęli poseł S t a n ě k i redaktor S o n n t a g, podczas gdy „klerykalnym“ agraryuszom przewodzą poseł V a c a, R o z k o š n ý i poseł S t a r o š t i k. Postępowi pozyskali sobie także *Jihlavské Listy*.

Która strona ma słuszność, nie wiemy; nie znamy się bowiem na tyle na rolnictwie, żeby orzec, kiedy owies lepiej rośnie, czy podczas zgody wsi z proboszczem, czy też podczas wioskowego „kulturkampfu“. Pomieszano kwestye zawodowe z politycznemi, te zaś z zakrystyjnemi, musiał się więc zrobić galimatyas. Zwracaliśmy już nieraz uwagę, że Czesi lubią urządzać organizacye polityczne na podstawie niepolitycznej.

Narodni Listy mają z dawnych lat bardzo proste prawidło polityczne: dobro Czechów polega na tem, żeby byli zawsze w opozycyi: wszelkie złagodzenie nawet opozycyjnego tonu jest zdradą ojczyzny. Toteż drżały z przerażenia, gdy nadchodziły wiadomości o jakichś „konszachtach“ słowiańskiej „Jednoty“ z rządem (za pośrednictwem G ł ą b i ń s k i e g o), a gdy niespodzianie obstrukcya ubiła sama możność obstrukcyi, potrzebowały dwóch dni na zoryentowanie się w zmienionej sytuacyi, wyrażając się z razu sceptycznie i trochę z przekąsem o tej robocie — podejrzanej z natury rzeczy dla amatorów opozycyi dla opozycyi.

Nar. Listy, odpowiadając na nasze uwagi o ich „recydywie“, poczynione w zeszycie grudniowym, przekręcają sprawę w numerze 339 w ten sposób, jakobyśmy im zarzucali, że r o z r ó ż n i a j ą w Galicyi Rosyan i Ukraińców. Przypomina nam to przygodę z lublańskim *Slovenskim Nar.* Kiedy *Swiat Słowiański* ogłosił program, żeby wszystkie ziemie słoweńskie połączyć z Krainą w jednę całość administracyjną, natenczas *Slovenski Narod* wystąpił z obszernym artykułem przeciw nam, jako... przeciwnikom połączenia Słoweńców (zob. zeszyt z października 1907 str. 266—267). Ci są dwaj najwięksi kłamcy i krętacze w prasie słowiańskiej.

Jeżeli się sprawdzi wiadomość, że *Narodni Listy* przejdą niebawem na własność tego samego konsorcyum, które wydaje *Den* (z dr. K r a m á ř e m na czele), w takim razie — ponieważ tryesteńska *Slavenska Misao* przestała wychodzić — pozostanie na całym obszarze Słowiańszczyzny jedno już tylko pismo, uprawiające moskalofilizm starego stylu: prościejowskie *Hlasy z Hane*, które bają wciąż o niedoli Słowiańszczyzny, zawinionej przez Polaków, a mianowicie przez ucisk „Rosyan“ w Galicyi. Jestto gazetka wychodząca trzy razy na tydzień.

Moravská Orlice podała w Nrze 264 i 267 przekład naszego artykułu z zeszytu październikowego: „Wyniki odwiedzin czeskich“ (D u s l e d k y č e s k é n á v š t ě v y), w Nrze zaś gwiazdkowym zamieściła napisany na prośbę berneńskiej redakcyi artykuł dra. Konecznego o obecnym stanie stosunków polsko-rosyjskich. Niestety, chcąc powiedzieć prawdę, trzeba było napisać, że już 4/5 Polaków wolałoby okupacyę pruską, niż niniejsze orgie czynownictwa. *k.*

Prasa **słowacka,** z wyjątkiem jednych *Narodnich Novin*, pochwala stanowisko opozycyjne posłów narodowych wobec przesilenia gabinetu. Pierwszy krok opozycyi pojawił się już przy wyborze prezydenta sejmu, kiedy klub „narodnostni“ oddał 18 głosów na Justha. Opozycya narodowych posłów zwracała się przedewszystkiem przeciw Andrassemu, największemu nieprzyjacielowi demokratycznej reformy prawa wyborczego. W opozycyi wspierali niemadiarskich posłów i stronnicy Justha. Do wyraźnej jednak ugody między Justhem a klubem narodowym dotychczas nie przyszło; z przygodnego zaś współdziałania z Justhem nie można wysnuwać wniosków o zmianie państwowej polityki narodowości niemadiarskich, ani też nie można mówić o zmianie frontu Słowaków przeciw Wiedniowi. Tylekroć bowiem razy nauczeni, nie zechcą zostać teraz przedmiotem handlu między Budzyniem a Wiedniem. Tego się jednak nie da zaprzeczyć, że wśród Słowaków i innych narodów niemadiarskich są szczere sympatye dla Justha, który niedawno głosił: Musimy uczynić żywot narodowości znośnym i zapobiedz, by nie zwracali swych nadziei w stronę Wiednia lub Bukaresztu. Wcale spokojnie możemy w tym kierunku zabezpieczyć narodowościom autonomię, ale przytem trzeba je przekonać, że ich interesem wobec Rakuz, niezachwianie bronić niezawisłości Węgier. Z Wiednia przysyłają tylko demagogiczne obietnice. Jeżeli Madiarzy porzucą swą niesprawiedliwą dotychczasową politykę względem narodowości, wtedy będzie już niemożebnem usiłowanie podszczuć je przeciw nam. *ek.*

Również, kiedy zachodziła obawa że do steru, dostałby się „czorny grof“ tj. Andrassy, zamieścił *Sloevenský Tyždenik* (organ Milana Hodžy), następujący ważny artykuł pod wybitnym tytułem „Słowacy a dynastya“. Czytamy tam:

„W Wiedniu sądzono dotychczas, że na Węgrzech nie trzeba się liczyć z narodami niemadiarskimi, bo gdyby polityka państwowa lub dynastyczna potrzebowała kiedy usług, one zawsze i kiedykolwiek będą gotowe służyć za narzędzie w ręku polityki wiedeńskiej przeciw butnej madiarszczyźnie. My, Słowacy, byliśmy zawsze tego przekonania, że dynastya i my, i wogóle narody niemadiarskie, a nawet sam lud madiarski, mamy wspólne interesy wobec oligarchii madiarskiej. Dlatego ojcowie nasi przelewali krew słowacką w r. 1848: dlatego przywódcy nasi, Józefy i Moyses, jeździli do Wiednia z deputacyami. A nam krwawi się serce bo za naszą ofiarność i za krew naszą zbierała zawsze korzyści nie nasza narodowość, lecz oligarchia madiarska. Wiedeń nie spełnił niczego z obietnic dawanych Słowakom i Rumunom. Kiedy po długiej abstynencyi reprezentanci węgierskich narodowości pojawili się na Sejmie w latach 1901 i 1905, nie wypadało wówczas opierać przyszłości naszego narodu tylko na życzliwości panującego rodu. Czem dalej, tem wyraźniej musiała się ujawnić świadomość, że przyszłość nie polega na pomocy z zewnątrz, lecz na własnej sile wewnętrznej. Polityka narodowa musiała być więc przedewszystkiem demokratyczną. W r. 1905 skłonił się i sam król ku powszechnemu prawu głosowania. Pierwszy i zasadniczy punkt programu narodowości niemadiarskich stał się programem rządowym. Po czterech latach wyczekiwania, polegającego na przyrzeczeniu królewskiem, począł rząd nagle głosić, że król odstępuje od powszechnego prawa wyborczego.

W tem tkwi powód postępowania stronnictwa narodowości niemadiarskich, któremu to postępowaniu dziwują się koła wiedeńskie. My Słowacy i wogóle lud całego kraju pragnęlibyśmy z całej duszy być wiernymi pomocnikami naszego monarchy, żeby utrzymać potęgę mocarstwową państwa. Jesteśmy głęboko przekonani, że nasze państwo habsburskie nie wyczerpało jeszcze swego zadania dziejowego i że najwspanialszą jego misyą jest to, żeby się stało zacisznem domostwem i dobrą ojczyzną dla narodów drobnych. Obstajemy przy żądaniu powszechnego prawa głosowania, ponieważ cała nasza polityka dynastyczna na Węgrzech jest bez reformy wyborczej budową opartą na piasku. Chcemy powszechnego głosowania, bo nie jesteśmy czeredą lokajów, lecz narodami świadomymi godności ludzkiej. Z kimkolwiek za uczciwe powszechne równe prawo wyborcze! A jeżeli nastanie znowu rząd nieprzyjazny demokratycznej reformie wyborczej, połączymy się przeciw takiemu rządowi z najostrzejszą opozycyą i to z jakąkolwiek opozycyą. Pragniemy utrzymać związek pomiędzy dynastyą a 20 milionami ludu na Węgrzech. Od trwałości tego związku zależy też upadek oligarchii, zależy przyszłość i dynastyi i państwa".

Słowaccy posłowie oświadczyli się następnie za Lukacsem, który opowiada się być zwolennikiem powszechnego głosowania. *k.*

W listopadzie zaczęło wychodzić (Budapeszt VIII/3, rocznie 6 K) nowe pismo: *Prúdy* — „revue mladého Slovenska". Redaguje je młodzież akademicka wraz z najmłodszą inteligencyą. Głównym celem „Prądów" jest „objaśniać młodzieży dzisiejsze zadania i obowiązki w kulturalnej pracy, wskazywać odpowiadające duchowi czasu drogi i środki i równocześnie być obrazem jej myśli, dążeń i pracy; głosić zrozumienie wielkich, kulturalnych, politycznych, gospodarskich zadań słowackiego młodzieńca w pracy narodowej". Chcemy wychowywać — brzmią słowa wstępne, — wskazywać nowe drogi, nowe dążenia, zapoznawać z nowemi myślami, iść do walki przeciw lenistwu duchowemu u nas, zbliżać do reszty świata, zwłaszcza do życia czeskiego i słowiańskiego wogóle. Musimy się starać naprawić grzechy szkoły madiarskiej, do której większość naszych studentów uczęszcza.

„Duchowo złączyć tych, którzy są w Peszcie, Preszburgu, w Św. Marcinie, Pradze i t. d., spoić różne warstwy słowackiej młodzieży. Jeżeli się nam uda zjednoczyć słowacką młodzież w jednym celu i zbudzić w niej świadomość wzajemnej solidarności, czasopismo wyk na wielkie zadanie. Pismo będzie wolną trybuną, na której każdy ma prawo próbować swych sił. Jest to próba, czy choć najmłodsi, co jednakowo nie myślą, umieliby pracować na wspólnym gruncie. To jest celem „Prądów", rozfalować stojące wody słowackiego narodowego życia, a w pierwszym rzędzie życia młodzieży. Trzeba pokazać, że słowacka młodzież tęskni za światłem i pracą".

Program piękny, cele ładne, które pismo — mamy nadzieję — osięgnie na mozolnej drodze. Treścią obejmuje każdy zeszyt pisma artykuł polityczny, z historyi współczesnej literatury, wiersze, nowele, przegląd dzieł, korespondencye o życiu młodzieży w poszczególnych miastach, przegląd socyalno-gospodarski i kronikę.

Ma powstać gazeta codzienna *Slovensky Dennik*. Byłoby to faktem wielkiego znaczenia politycznego, a tem bardziej pożądanym, że jedyne dotychczas pismo codzienne *Slovenske Noviny*, są wydawane przez rząd z funduszów skonfiskowanego majątku Macie zy. Redakcya *Slovenskego Tyždennika* finansuje sprawę *Slovenskego Dennika*, podwyższając swój kapitał na 60.000 kor., puszczając w obieg 500 nowych 20-koronowych udziałów. Dwie trzecie udziałów są już pokryte.

Przygotowuje się również nowe pismo dla kobiet, *Živena*.

Dodatek do *Slovenskego Tyždennika*, miesięcznik dla ludu *Naša Zastava*, został wznowiony i pierwszy jego zeszyt, jako dodatek świąteczny, dołączono do numeru z dnia 24-go grudnia.

Artykul *Swiata Słowiańskiego* p. t. „Wezwanie do prasy słowackiej" został przychylnie przyjęty przez *Prudy*. Umieściły go w streszczeniu w pierwszym numerze i następującemi zaopatrzyły uwagami. „W stosunkach słowacko-polskich jest zaprawdę wiele niezdrowego, gdyż ogranicza się on tylko na negatywnych stronach. Bywało wprawdzie kiedyś inaczej. Silne wpływy głębszych i szczerszych stosunków czesko-polskich badać można i na na naszej starszej literaturze. Sympatye słowackie do Polaków chłodły w tym stosunku, w jakim wzrastał w *Narodnich Novinach* wyłączny kult samodzierżawia, nadzieja w światową katastrofę, która przyniesie nam oswobodzenie. Trzeba jednak przyznać, że było wiele momentów do tego sposobnych, aby podniecić tę wzmagającą się niechęć. Przeciwsłowiańska polityka Koła polskiego w Austryi, niezliczone dowody polsko-madiarskiego braterstwa, wycieczki polskiego studenctwa do Pesztu, okazałe przyjęcia madiarskich studentów we Lwowie, oszczercze pisanie *Słowa Polskiego* o sprawach słowackich i t. d. Młodsza generacya z ostatniego dziesięciolecia, która szukała gruntu dla swej pracy w szczerym demokratyzmie, potępiała politykę stańczykowską i ich samowolę w Galicyi i polski konserwatyzm; ani szowinistyczne „wyzwy" demokracyi narodowej nie były jej sympatyczne. Co mogła przejąć od ludzi, myślących tylko o odnowieniu Polski od morza do morza, generacya, która widziała swe ideały w kształceniu się i drobnej kulturalnej pracy? Ale to wszystko, prawda, nie zwalnia nas od odpowiedzialności. W jednej rzeczy przedewszystkiem jest winne nasze dziennikarstwo: zbyt generalizowało. Dlatego nie widziało jasnych stron, a źródła, z których czerpało, nie bywały zawsze najczyściejsze, czy to były peszteńskie, czy inne, gdyż inaczej dowiedziałaby się przynajmniej kiedyś słowacka publiczność, że Polska ma także inne ideały i dążenia: w kulturalnej pracy, w życiu politycznem, w literaturze, nauce, że w systematycznej obronnej ich pracy narodowej (Poznańskie) moglibyśmy się wiele nauczyć. Naród polski nie może odpowiadać za wszystkich stańczyków, ani za ludzi, którzy w madiarskiej „rycerskości" widzą swój ideał i ufają, że z ich pomocą zbudują Polskę. Nie generalizować — to pierwszy warunek wzajemności, potrzebny starej generacyi i nowej; zbytnio nie podnosić tylko to, co nas odróżnia, lecz z miłością uwydatnić, co nas łączy i może złączyć objektywnie i na zasadzie prawdy. Za zwrócenie uwagi na to, możemy być *Swiatu Słowiańskiemu* bardzo wdzięczni".

W tej samej sprawie *Slovensky Tyždennik* nr. 48 temi słowy odpowiedział: „Mało mają Polacy tak uświadomionych i szczerych czcicieli, jakich mają w nas; kiedyśmy jednak o nich wiele pisali, musieliśmy im wytykać, że obecna polska polityka sprzeciwia się słowiańskiej wolności, gdyż gnębi poli-

tyczny i kulturalny rozwój narodu ruskiego w Galicyi. *Swiat Słowiański* za to wprawdzie nie odpowiada, lecz mógłby starać się pozyskać dla myśli słowiańskiego braterstwa i wolności nietylko nas, ale także Polaków. *Swiat Słowiański* ma te zasady w należytem uszanowaniu, dlatego cieszy się naszym głębokim szacunkiem i posiada naszą serdeczną życzliwość, ale żeby te zasady przeszły także w krew polskiego społeczeństwa, ach! zarazby łyło łatwiej i przyjemniej rozprawiać Słowakom o Polakach w tej myśli, jak tego żąda *Swiat Słowiański*".

Apel nasz jednak poskutkował. Otrzymaliśmy obietnicę, że prasa słowacka będzie szerzyła o nas nietylko złe wiadomości. A co do ucisku Rusinów w Galicyi, było to już omówione z e słowackiego stanowiska w naszem piśmie przez Słowaka. Czy *Slovensky Tyždennik* ma co do tego dodać?

ek.

W prasie **słowieńskiej** szukamy przedewszystkiem autentycznego wyjaśnienia genezy tego tryumfu, jaki odniosła Jednota słowiańska, wymógłszy zmianę regulaminu w parlamencie. Wszak lublański *Slovenec* jest organem ks. Dra Kreka. (W N-rze 291 pojawił się artykuł wstępny p. t. „Predzgodovina predloga Krek-Kramař", nadesłany od „poučene strani":

Sam pomysł powstał poprzedniego jeszcze lata, podczas obstrukcyi agraryuszów czeskich i klubu słowieńskiego. O nagły wniosek w sprawie zmiany regulaminu umówili się wtedy Dr Šusteršič z Udržalem z innymi przywódcami czeskich agraryuszów; wtajemniczeni byli w te zamiary ks. Dr. Krek i Dr. Korošec. Ale okoliczności nie sprzyjały sprawie. We czwartek 16 grudnia zdały się Dr. Šusteršičowi okoliczności przyjaznemi. Przyszedłszy około południa do parlamentu porozumiał się z ks. Dr. Krekiem i Dr. Korošcem, tudzież z czeskimi agraryuszami Udržalem, Zazworką, Stańkiem i Praškiem. Postanowiono wystąpić z wnioskiem natychmiast i że go będzie motywował ks. Dr. Krek. Tekst wniosku ułożył Dr. Šusteršič, zebrał podpisy Klubu słowieńskiego i czeskich agraryuszów i zgłosił wniosek u wiceprezydenta Zazworki, który właśnie prezydował. Zrobiono to „w ostatniej niejako minucie". W chwilę potem zgłosili czescy radykali 19 wniosków nagłych i gdyby byli wyprzedzili Šusteršiča, przepadłoby wszystko, bo radykali — będąc przeciwni pogrzebaniu obstrukcyi — nie byliby ustąpili pierwszeństwa. Tegoż dnia popołudniu odbyło się posiedzenie komisyi parlamentarnej „Jednoty", na którem Šusteršič referował o wniosku w imieniu klubu słowieńskiego i prosił Jednoty o poparcie. Za udzieleniem poparcia głosowali czescy agraryusze, klub czeski (młodoczesi) i klub słowieński (katoliccy Słowieńcy), przeciw głosowali czescy radykali i morawska frakcya Dra Stranskiego (niedobitki stronnictwa „ludowego"; organ: *Lidove Noviny* w Bernie); wstrzymali się od głosowania: klub katolicko-narodowy czeski i „zveza južnih Slavena" (Chorwaci i słowieńscy liberali). Šusteršič osiągnął jednak większość w zasadzie, chodziło tylko o szczegóły wniosku. „Jednota" uchwaliła oznaczyć szczegółowo prawa prezydenta (wniosek Kramařa) i z dyskusyi wyłonił się wniosek, który nazajutrz (17 grudnia) podali Kramař, Udržal, Šusteršič. Tegoż dnia odbyły się konferencye z reprezentantami Koła Polskiego, stronnictw niemieckich i socyalistów, a w sobotę 18 grudnia sprawa była już załatwiona. To, co nastąpiło na posiedzeniu publicznem, było już tylko „piękną dekoracyą".

Otwarła się droga „dla demokratycznego rozwoju państwa aż do zupełnego zwycięstwa równouprawnienia narodów. Tylko nie łudźmy się: Droga jest wprawdzie prosta, ale długa".

W Nrze 290 *Slovenca* pisze sam ks. Dr. Krek artykuł wstępny p. t. „Dodatek do 76 godzinnego posiedzenia parlamentu", w którym stwierdza, że pomysł istniał już dawno, że to był wniosek „Slovenskega Kluba", do którego przyłączyli się czescy agraryusze. „Ja miałem z nim związek o tyle tylko, że go pierwszy podpisałem i motywowałem"... Dr. Kramář dowiedział się o wniosku dopiero, kiedy był już złożony (w prezydyum), co sam publicznie przyznał". Ks. Dr. Krek powiada, że ma już „po uszy" dziękczynień i pochwał, a chce tylko zwrócić uwagę, że istota rzeczy i zwycięztwa nie w samym wniosku i nietrudnem umotywowaniu go, lecz w przygotowaniu okoliczności umożliwiających uchwalenie go. „Któż urządził stosunki w ten sposób, że dało się automatycznie niejako wymusić zmianę regulaminu?... Przedewszystkiem karność i żelazna konsekwencya naszego Klubu, mająca źródło w wybitności osób swych członków, w intelligencyi i energii przywódcy".

Klub słowieński składa się z posłów, którzy się nie absentują i są zawsze wszyscy przy każdem ważniejszem głosowaniu i przy tem też był to jedyny klub, z którego nie brakowało nikogo. Członkowie „vseslovenske ljudske stranke" są jednej myśli i złączeni serdeczną przyjaźnią. Rząd uważał słowieńskich posłów od dawna za przywieszkę (privesek) do innego jakiego klubu, do Czechów, konserwatystów, a w obecnej Izbie do Luegrowców. Trzeba było wywalczyć sobie uznanie indywidualności Klubu i tem potrzebniejszą była karność jego członków. I wywodzi dalej ks. Dr. Krek, że naród słowieński potrzebuje stronnictwa zwartego, zjednoczonego, a takie może istnieć tylko z programem demokratycznym a chrześcijańskim. Liberalizm na nic się nie zda, a zresztą (czytamy pod sam koniec artykułu) los słowieńskich liberałów jest i tak „zapieczętowany".

Stronnictwo liberalne było od początku przeciwne obstrukcyi, ale gdy tej hydrze łeb ucięto, *Slovenski Narod* nie dzieli wcale radości *Slovenca*, bo rzecz wprawdzie jest nie zła, ale cóż z tego, skoro wyszła od przeciwnego stronnictwa i jemu przedewszystkiem wyjdzie na korzyść. Niesmaczne było silenie się, żeby najpierw zmniejszyć zasługę klubu „klerykalnego", a potem wykazać, że to nie ks. Krek, ale Kramář się zasłużył, aż w końcu rzucono się po staremu na ks. Kreka. Co za ciasnota i małostkowość! Zwłaszcza, że ks. Krek nie ma wcale zwyczaju wysuwać się i zachował się w całej sprawie ze skromnością nie pruderyjną, ale z tą istotną, cechującą umysł niepospolity.

Trzecie ze stronnictw słowieńskich, narodna stranka, mająca za organ cylejski *Narodni Dnevnik*, odbyła trzeci doroczny walny zjazd dnia 9 grudnia. Sekretarz jej Janko Lešničar ogłosił sprawozdanie w Nrze 282 *Nar. Dn.*, z którego podajemy kilka uwag:

Założenie osobnego stronnictwa narodowego w Styryi południowej umotywowano tem, że „ljudska stranka", to są „eksponenci międzynarodowego klerykalizmu". O „liberałach" lublańskich nie powiedziano nic. Wiemy skądinąd, że uważa się ich w Cylei za polityczne zero, dobre w sam raz do ignorowania. Określiwszy ogólną sytuacyę polityczną, oświadcza urzędowy sprawozdawca stronnictwa, że „postępowcy słowieńscy nie wyrzekli jeszcze ostatniego słowa, jak sobie wyobrażają przyszłość

narodu słowieńskiego tu na południu monarchii i jaki ma być nasz stosunek do innych południowych pobratymców", a więc po prostu nie mają programu — „ale mniemamy, że niebawem naradzimy się o tych sprawach w związku z naszymi braćmi i przyjaciółmi politycznymi (tj. postępowcami) w innych krajach słowiańskich". Wiadomo, że „klerikalci" mają pod tym względem program wyraźny od dawna (chorwacka sankcya pragmatyczna). „Naprednjaki" nie mogą na ten program przystać i obiecują wymyśleć inny — Jaki? tego sami jeszcze nie wiedzą, ale byle inny, z zasady inny.

Komitet wykonawczy stronnictwa protestował przeciw oddaniu tek hr. Stürgkhowi i Hohenburgerowi; urządzono w tej sprawie szereg wieców w lutym i w marcu. Komitet przystał chętnie na zjednoczenie słowieńskich posłów w „narodną zvezę", ale z winy „klerikalców" — którzy na własną rękę rozpoczęli obstrukcyę — rozwiała się ta wspólna organizacya. W sprawie wyborów do sejmu styryjskiego zawarto kompromis z „kmečką zvezą", tusząc, że wprowadzi się do sejmu innych ludzi, a nie „kandydatów plebańskich kucharek" — ale kompromis utrzymać się niedał. Stronnictwo podało siedm kandydatów i zebrało 2788 głosów, a klerykali 6.111. Przeprowadzono jednak wybór przywódcy stronnictwa, Dra Kukovca. — Zasługą stronnictwa jest, że zmuszono renegata Woschnagga do złożenia mandatu i rozbito obóz „štajercijanców" (coś, jak „Ślązaki" w Cieszyńskiem); cios był taki, że np. w okręgu ptujskim doliczyli się zaledwie 186—300 głosów przeciw 3.200 słowieńskim. Wszędzie pozyskano też po miastach głosów na tyle (stawiając tylko kandydatów dla policzenia się), że wypada oświadczyć się za wyborami proporcyonalnemi, jako korzystnemi dla sprawy słowieńskiej. „Przypuszczam — pisze sekretarz stronnictwa — że nasi klerykali, tak wierni skądinąd obrońcy katolików francuskich, przyswoją sobie też żądanie ich, żeby zaprowadzić proporcyonalny system wyborczy".

Bądźcobądź, klerykali odnieśli zwycięstwo przy wyborach styryjskich. Jestto „widoczny rabunek polityczny i zbrodnia na ludzie wiejskim dokonana" przez tamto stronnictwo, odznaczające się, antykulturalnością i tyraństwem.[1])

„Stronnictwo nasze ma prowadzić walkę na dwa fronty: przeciwko Niemcom i rządowi, tudzież przeciw klerykalizmowi".

Zebrań i wieców urządziła styryjska narodna stranka w ubiegłym roku 94; sekretaryat załatwił 848 korespondencyj, nie licząc korespodencyi prywatnej członków Komitetu wykonawczego, ani też cyrkularzy i t. p. Ale organizacya szwankuje, skoro sam sprawozdawca wyraża obawę, że „nie ubiją nas klerykali, ale może nas łatwo zniszczyć własna gnuśność i niedbalstwo. — Nam się zdaje, że „naprzednjaci" chorzy są na brak programu politycznego. Walka z hegemonią niemiecką jest wszystkim stronnictwom wspólna, nie stanowi więc żadnej specyalnej cechy „narodne stranke", pozostaje więc tylko walka z „klerykalizmem", czyli po prostu mówiąc, walka ze stronnictwem starszem, lepiej zorganizowanem i mającem program jedyny, jak dotychczas, wśród Słowieńców.

---

[1]) Sprawiedliwdść każe przyznać, że „klerikalci" wyrażają się również uprzejmie o „naprednjakach"). Co do brutalności, wszystkie stronnictwa słowieńskie stoją na równi.

Stronnictwo „klerykalne“ nie jest oczywiście nieomylne i ma swoje wady i pomyłki. Zupełnie słusznie wytykał *Narodni Dnevnik Slovencowi*, że w procesie zagrzebskim i Friedjunga zajmował stanowisko zwykle niewyraźne, a czasem wyraźnie rządowe. Wierzył Chlumetzkiemu, przypuszczał a priori możliwość, że zachodziła rzeczywiście zdrada główna i że koalicyą serbo-chorwacką kierowano z Belgradu. Wogóle czuć w *Slovencu* ton niechętny tej koalicyi. Naszem zdaniem jest to gruby błąd polityczny, który nie mści się na razie na stronnictwie tylko dlatego, że dotyczy spraw poza terytoryum słowieńskiem. Ale sama „vseslovenska ljudska stranka“ zabiera się do rozwinięcia działalności wśród Chorwatów. Jeżeli się te zamiary udadzą, będą się lublańscy kierownicy stronnictwa musieli liczyć skrupulatnie ze stanem rzeczy w Chorwacyi. Tam już dzisiaj kwiat narodu należy do koalicyi. Ideał jedności narodowej z Serbami jest prądem historycznym, którego nic nie zmoże, a prądem dobroczynnym i kulturalnym. Jeżeliby tedy słowieńscy „ludowcy“ szli nadal przeciw koalicyi, mogłoby się zdarzyć, że rozgoryczywszy przeciw sobie opinię chorwacką — która coraz życzliwszą będzie dla koalicyi — ponieśliby potem skutkiem tego straty i na własnym terenie. Tak jest, z Chorwacyi mogłaby się przenieść reakcya przeciw nim do Słowenii (bo trzeba mieć na uwadze dążenia do wspólnego programu politycznego słowieńsko-chorwackiego).

Zdaje nam się też, że interesy słowieńskich ludowców i koalicyi serbo-chorwackiej są wspólne. Program mają jednaki: państwo południowo-słowiańskie. Koalicya serbo-chorwacka nadaje się doskonale, jakby na przedłużenie ramienia, wyciągniętego ku pobratymcom z Lublany. Sojusz dwóch tych najpoważniejszych na południu stronnictw jest nieodzowną potrzebą polityczną; porozumienie pomiędzy niemi zdecydowałoby o przyszłości południa,

Sojusz taki jest możliwy, jeżeli się tylko w kombinacyach politycznych przestanie kierować względami niepolitycznemi. Koalicya nie walczy wprawdzie ze schyzmą (serbską), ale nie jest antykatolicką; słowieńcy zaś „klerykali“, choćby chcieli z tą schyzmą walczyć, nie znajdą i tak do tego sposobności.

Koalicya serbo-chorwacka, wyznając jedność narodową, musi dążyć konsekwentnie do zjednoczenia ziem chorwackich z serbskiemi. Pod czyjem berłem? Karadżordżowie skompromitowani już niemniej od Obrenovićów, a Petroviće mogą rywalizować z Karadżordżami, ale nie z Habsburgami. Jest to rzeczą pewnego taktu politycznego, żeby Wiedeń pogodzić z koalicyą, z jedynem stronnictwem, które może wystawić Wiedniowi mosty na Bałkan. Wpłynąć na Wiedeń, żeby uznał błąd i ciężką krzywdę, wyrządzoną koalicyi, nawiązać tu nici porozumienia politycznego i stanąć mężnie po stronie koalicyi — oto misya, obowiązek polityczny i własny interes ljudske stranke. Rzeczą zaś Wiednia jest, tak się obchodzić z Serbami, żeby woleli Habsburgów, niż Karadżordżów i Petrovićów.

Nasuwa się też pytanie, czy ci, którzy zakładają wśród Słowieńców nowe stronnictwa, nie mając innego programu, jak walkę z kucharkami na plebaniach, nie zdziałaliby więcej dla swego narodu, gdyby tworząc lewe skrzydło w łonie „ljudske stranke“, chronili ją swą przytomnością od pewnej wyłączności i od błędnego zachowania się wobec koalicyi serbo-

chorwackiej. Jak „ljudska stranka“ powinna być łącznikiem pomiędzy Wiedniem a tą koalicyą, tak znów „naprednjaci“ mogliby stać się łącznikiem pomiędzy Šusteršičem a... Pribičevićami. Nie pora na organizowanie stronnictw na podstawie zapatrywań na kwestyę księżych kucharek; są ważniejsze rzeczy do roboty! Dziś mogliby jeszcze „naprednjaci“ słowieńscy wyzyskać sposobną chwilę; niebawem mogą się znaleźć całkiem poza życiem politycznem, gdy „klerikalci“ znajdą sobie sami drogę w stronę Zagrzebia i Nowego Sadu. A do szukania jej zmusi ich rozwój stosunków i wypadków, jakkolwiekby się dziś na tę sprawę zapatrywali.

Šusteršič i Krek.... i Pribičevićowie! Dziś to brzmi dziwnie. A jednak taki jest kierunek, dany przez samą istotę rzeczy.

To, co zajmowało głównie prasę chorwacką, było i w polskiej roztrząsane wszechstronnie: proces Friedjunga. A prasa polska była w tej sprawie jednomyślna, podczas gdy chorwacka była rozdzielona: Rauchowcy bowiem i frankowcy nie posiadali się z radości, gdy Supilo znalazł się niewinnie w ciężkiem położeniu, a prasa ich nuciła requiem koalicyi serbo-chorwackiej na jak najweselszą nutę. Jest to dla nas czemś niepojętem, jak ci ludzie na południu umieją się nienawidzieć i jak potrafią być brutalni w życiu publicznem! Ze zdumieniem oglądaliśmy w poważnym miesięczniku literacko-naukowym *Hrvatska Smotra* ohydne karykatury na Supila, z powodu przedwcześnie głoszonej mu śmierci cywilnej; jak mogła się *Smotra* zniżyć do czegoś podobnego? Jak można wogóle wydać na kogoś wyrok przed ukończeniem procesu? *Hrvatsko Pravo* z istną furyą rzucało się na członków koalicyi, broniących swej czci przed wiedeńskiem forum, i dzień w dzień stwierdzało z dziką radością, że koalicya serbo-chorwacka „raniona na śmierć“. *Hrvatska Sloboda* nie zostawiła na Supilu suchej nitki (ma go na wątróbce, że niegdyś rozbił stronnictwo t. zw. stranka prava); *Narodne Novine*, chociaż zachowały takt względem innych polityków z koalicyi, nie wytrzymały jednak co do Supila i traktowały go nietylko jako sprzedawczyka, ale zarazem jako nieuka (jest samoukiem), tak, że gdyby to było trwało o jeden dzień dłużej, byłyby go posądziły o analfabetyzm.

Możnaby powiedzieć: wszak był podczas procesu moment, że sami towarzysze Supila odwrócili się od niego?

Otóż to właśnie jaskrawy przykład braku rozwagi u naszych południowych pobratymców. W prasie polskiej (najpierw w pismach pozostających w stosunku ze *Swiatem Słowiańskim* a potem i w innych) pojawiła się natenczas uwaga, że Chlumetzky mógł brać pieniądze dla siebie, udając, że je bierze dla Supila; dziwna rzecz, że nie pomyślano sobie tego w Chorwacyi!

My staliśmy od samego początku na tem stanowisku, że gdy ktoś chce koniecznie nabyć jakiś towar nieistniejący, znajdzie w końcu kupca, który go dla naiwnego kupującego... sfałszuje, byle dostarczyć, czego żądają i zarobić. Wiedzieliśmy, że Slovenski Jug był sobie studencką czytelnią, a wychodzące wówczas pod tym samym tytułem pismo świadczyło wymownie, że ten *Sl. Jug* nie rozporządza żadnym kapitałem, ani umysłowym, ani pieniężnym. W Wiedniu, w kołach „miarodajnych“, nie miano chyba nigdy w ręku tej gazetki wychodzącej zrazu co dwa tygodnie, potem co tydzień w teoryi, ale z grubemi przer-

wami. Gdyby protokoły tego „sprzysiężenia“ okazały się autentycznemi, tłumaczylibyśmy autentyczność ich w ten sposób, że do stowarzyszenia dobrała się jakaś szajka, naciągająca równocześnie dwa rządy: serbski i austryacki na wydatki na towary... nieistniejące. Dr. Friedjung, jako historyk, powinien wiedzieć, że dokument może być najautentyczniejszy, a zawierać treść kłamliwą. Zwracamy na to uwagę na wypadek, gdyby się sprawdziły pogłoski, że Dr. Friedjungowi trzeba będzie wytoczyć jeszcze jeden proces.

Że *Slobodnaja Riječ*, *Srbobran*, *Pokret*, broniły stale wszystkich, nie wyjmując Supila, to rzecz prosta; ale zapisać trzeba na pochwałę tych dzienników, że robiły to z taktem i z wielką godnością. Z przyjemnością stwierdzaliśmy też takt i rozsądek w *Agramer Tagblatt*, który od razu napisał, że Supilo wart tego, żeby mu wierzyć przynajmniej na równi z Chlumetzkim.

Największą zaś przyjemnością było czytywać *Obzor*. Supilo był nieprzyjacielem tego dziennika i dawał mu się nieraz we znaki — a *Obzor* zachowywał się nawet w najkrytyczniejszej dla Supila chwili tak, że okazał się gentelmanem w każdym calu. Rozum i szlachetność przemawiały z każdego artykułu tego najpoważniejszego pisma chorwackiego — i to w stopniu tak wysokim, że dają one Chorwacyi zadośćuczynienie za żakowskie zaiste wybryki prasy rauchowsko-frankowskiej i za obrzucenie kamieniami banku serbskiego i drukarni serbskiej przez frankowskich „legionistów“ w Zagrzebiu.

Bądźcobądź, „legioniści“ (jawni i zachowujący się ciszej) są mniejszością. Kiedy „koalicionaši“ wracali z Wiednia, wyległy na ich spotkanie tłumy, które obliczano na 8—10.000 osób[1]), My z tymi trzymamy — a co sądzimy o rzeczy samej, wypowiadamy w artykule wstępnym. Tutaj zaś „dla pamięci“ przytoczymy jeszcze personalia Chlumetzkiego:

Syn słynnego prawnika i polityka, o nazwisku wybitnem — ale wyrodek, który ojcu wstyd przynosił; chcąc go mieć jak najdalej od siebie i swych znajomych, umieścił go ojciec w Dalmacyi.

Zagrzebski *Pokret* zamieścił w Nrze 284 p. t. „Tko je Chlumetzky?“ list otwarty do redakcyi, podpisany całem nazwiskiem korespondenta, dra Mateusza Lisičara. List zaczyna się od takiego zwrotu do redaktora: „Pan, jako dobry człowiek, zechce umieścić to w swem szanownem piśmie, a odpowiedzialność biorę ja sam na siebie w zupełności“. Autor listu twierdzi, że młody baron Chlumetzky, nie odznaczający się ani wykształceniem ani niczem wogóle, — przybył do Dalmacyi „z jedynym kapitałem, jaki miał, tj. względami na swego ojca“ i „rozpoczął karyerę od pewnej denuncyacyi, która narobiła z razu wiele hałasu, a skończyła się śmiechem i wyrażeniem się pewnej dostojnej osoby o tym człowieku, że jest un homme detraqué“. Chlumetzky pozwalał sobie za wiele wobec pani Davidowej, małżonki ówczesnego namiestnika Dalmacyi i doprowadził do tego, że zacna kobieta pokazała mu drzwi. Denuncyuje tedy Chlumetzky oboje państwa Davidów i wyższego urzę-

---

[1]) Nie doczekano się oczekiwanych. Wóz, w którym jechali, wyprzężono z pociągu na stacyi Veliki-Kaniži, żeby nie przyjechali na czas oznaczony. Tymczasem zaś koło zagrzebskiego dworca (na peron nie wpuszczono nikogo) aresztowano 20 osób, wśród nich posła Šurmina i Ekscellencyę wicemarszałka Tomičića.

dnika Nardelliego (dzisiejszego namiestnika), że spiskują przeciw Austryi z księciem czarnogórskim, odbywając narady z jego wysłannikami. W Wiedniu uwierzono z razu (oj ten Wiedeń!!) i zaczęły się dochodzenia. Ostatecznie David nic na tem nie stracił, Nardelli szedł dalej w górę, a Chlumetzky... próbował dalej szczęścia u kobiet. Doczekał się bogdanki, wszedłszy, dzięki stosunkom swego ojca, w dom hr. Kabogów. Podróżował sobie z hrabiną po świecie, póki starczyło jej pieniędzy, skłonił ją do rozwodu, a potem porzucił i zwrócił amory gdzieindziej. Przyszła kolej na córkę bogatego właściciela dóbr z pod Karłowca, zamężną w Wiedniu, z którą rzeczy poszły takim torem, że mogłaby być z tego prosta sprawa karna. Dr. Lisičar oświadcza, że w danym razie wymieni nazwiska i odkryje całą sprawę. Twierdzi też, że Chlumetzky utrzymuje się w Wiedniu wciąż z uwodzenia kobiet.

„Na końcu dodaję — pisze dalej dr. Lisičar — że akt sprzysiężenia, o którym wspominał Chlumetzky w swych zeznaniach, posłał do Wiednia do ministerstwa spraw zewnętrznych agent Kallaya w Belgradzie, Antoni Manenizza, który służył w owym czasie w ministerstwie spraw zewnętrznych w Belgradzie. Akt ten Manenizza sam czytał mnie i nieżyjącemu już dziennikarzowi Dinkowi Politemu w Zagrzebiu."

Na zakończenie tego przeglądu prasy chorwackiej zapisujemy z przyjemnością, że pismem, które najbardziej zajmuje się sprawami polskiemi, jest *Obzor*, a informowany bywa teraz dobrze. — *Dom* umieścił w Nrze 48 artykuł p. t. „Živjeli Poljaci!" (niech żyją Polacy!), w którym raduje się ze zwrotu, dokonywanego pod egidą ludowców i Stapińskiego, a tłumaczy czytelnikom ogólną politykę polską w Austryi. Wydawca *Doma*, poseł Stjepan Radić, nie od wczoraj przyjaciel polskości, a dowody przyjaźni składał nietylko w Krakowie i Zagrzebiu, nietylko w Lublanie i Pradze, lecz w Moskwie i w samym Petersburgu.

W prasie **serbskiej** pojawił się na nowo *Slovenski Jug*, jako tygodnik, tym razem pod poważną redakcyą b. profesora uniwersytetu Dra Bož. Markovića i literata Jowana Dučića. W pierwszym numerze zwraca uwagę artykuł b. ministra Jowana Gjaja p. t. „Narodnost i wera", nawołujący, żeby nie robić między sobą różnic politycznych z powodu różnicy wyznania i różnicy abecadła; dla wyznań zupełna tolerancya wzajemna i należy usilnie zwalczać wszelkie próby identyfikowania narodowości z wyznaniem — abecadeł zaś trzeba uczyć obydwóch. Słuszność i w tem i w tamtem przyznajemy b. ministrowi, tylko dziwimy się, jak mąż na takiem stanowisku i do tego literat może uważać cyrylicę za pochodzącą od ś-go Cyryla i Metodego! Takie bajki uchodziły przed kilkudziesięciu laty, ale dziś nawet gimnazyalistom nie wypada mięszać cyrylicy z głagolicą. — Artykuł ten przesłany był równocześnie lublańskiemu tygodnikowi *Slovenski Dom* — organowi „postępowych" chłopów (jak wypisano w tytule; skąd się wzięli w Krainie?) — i ogłoszony po słowieńsku, bo autor zwraca się w nim nie do samych tylko Serbów, lecz do południowych Słowian wogóle.

Przeczytawszy pierwsze dwa numery *Slovenskego Juga*, nie znaleźliśmy w nich nic rewolucyjnego, ani antiaustryackiego nawet. Są to zbiorki

ciekawych i pouczających korespondencyj; pismo zmierza widocznie do tego, żeby podawać obraz kultury jugosłowiańskiej. Miejmyż nadzieję, że hr. Aerenthal nie opłaca znów kogoś celem szpiegowania *Sl. Juga*, bo nużby dostał falsyfikaty osobno dla siebie drukowane?

Począł też wychodzić w Belgradzie *Balkanski Savez* pod redakcyą b. premiera Dra Vladana Džordževića; pismo poświęcone propagandzie prawnopolitycznego związku, a w dalszej przyszłości federacyi państw bałkańskich.

Z ziem serbskich najbardziej zajmowała opinię publiczną w ostatnim miesiącu **Czarnogóra**, bo kniaź odkrył znowu spisek i kazał rozstrzelać pięciu oficerów. W całej niemal prasie serbskiej ozwały się powątpiewania, czy spisek istniał rzeczywiście. Charakterystyczne! Prasa belgradzka rozmaitych odcieni i *Politika* i *Stampa* wystąpiła gwałtownie przeciw księciu, a gdy *Dnevni List* brał go w obronę, urządzono wielkie demonstracye i zdemolowano redakcyę. I austro-węgierscy Serbowie oburzyli się na starego kniazia Nikołę, vulgo Nikitę. Zagrzebski *Srbobran* napisał artykuł p. t. „Le roi s'amuse", a młodzież uniwersytetu zagrzebskiego — Chorwaci i Serbowie — urządziła wiec i uchwaliła rezolucyę, która nie uszłaby zapewne opiece policyi, gdyby państwo i armia kniazia stały w jakiejkolwiek proporcyi do sił Austro-Węgier.

Opinia publiczna w Belgradzie była wzburzona, demonstracye tak obelżywe, że kniaź uważał za stosowne zapytać telegraficznie króla Piotra czy krwawa egzekucya w Kolašinie „mogłaby istotnie zamącić przyjazne stosunki, jakie zachodziły przedtem pomiędzy dwoma bratnimi krajami?" Odbyło się umyślne posiedzenie gabinetu i uchwalono tekst rezolucyi, którą miano odczytać w obydwóch skupsztynach, belgradzkiej i cetyńskiej. Wyrażono w niej ubolewanie nad rozlewem krwi, a potem powołano się na zasadę, że Serbia nie ma prawa mięszać się do spraw wewnętrznych Czarnogóry, a więc i dobre stosunki obydwóch państw nie mogą na tem ucierpieć itd. Ale epizod ten stanowi nowy dowód, jak „przyjazne stosunki" dwóch serbskich dynastyj wiszą zawsze na włosku.

W skupsztynie czarnogórskiej chciało kilku posłów wnieść interpelacyę, ale dano im do zrozumienia, że mogą to przypłacić gardłem. Opozycya — i tak już przerzedzona — zamanifestowała swe niezadowolenie tem, że przestała uczęszczać na posiedzenia; pozostali dostali „z góry" wskazówkę i uchwalili, że za karę za nieobecność zakazuje im się odtąd przybywać do skupsztyny. Stary kniaź jest niezrównany w pomysłach i da sobie zawsze radę, jak najwprawniejszy rosyjski czynownik! Nad uchwałą tą nie było nawet głosowania; prezes czarnogórskiego parlamentu odczytał gotową uchwałę i już ma ona moc obowiązującą.

Zdarzyło się, że zginął gdzieś jakoś obecny przywódca opozycyi obywatel cetyński Luka Šakov-Kovačević. Po kilku dniach doniosła gazeta urzędowa, *Cetinski Viesnik*, że Šakov miał po pijanemu wypadek ze strzelbą i sam się zabił. Ale ludzie twierdzą, że nieboszczyk całkiem nie pijał. Korespondent zagrzebskiego *Obzora* (Nr. 352) twierdzi, że wy-

padki takie są już pospolite (przytacza nazwiska), a wydarzają się stale tylko opozycyonistom...

Belgradzka *Politika* podała wiadomość, jakoby głowa reakcyi, obecny premier Tomanović, miał otrzymać dymisyę, bo się powaśnił z kniaziewiczem Mirką, który zagarnął podobno całą władzę w swe ręce wbrew ojcu i następcy tronu, starszemu bratu Danile(!). Wiadomo, że Tomanović kłócił się zawsze z Mirką, ale wiadomo też, że do kłótni, a nawet do brutalnych awantur w stosunkach osobistych, trzeba w Czarnogórze przykładać miarę... miejscową. Prawdą też jest, że ks. Mirko jest malkontentem rodziny kniaziowskiej, ale o co kłóci się z ojcem i bratem, czy o publiczną sprawę — to jeszcze pytanie.

We własnem państwie radzi sobie kniaź z opozycyą w sposób „patryarchalny", ale co ma począć z „zagranicznymi" rodakami? Odpłaca się im więc pięknem za nadobne w swym *Cetinskim Wiesniku*, gdzie wypisywano takie niestworzone rzeczy na Serbów oskarżonych w procesie zagrzebskim a broniących swej czci w procesie Friedjunga, że najgorętsze organy „rauchowskie" i „frankowskie" nie odważyłyby się pisać takich bredni i wymyślań. Toteż *Srbobran* dał artykułowi wstępnemu w Nrze 274, w którym o tem pisze, tytuł: „Kniaź Nikoła, Tomanović, Nastić, Friedjung — jedinstvena kompanija".

Recenzye i sprawozdania.

Bohdan Łepkyj: *Naczerk istoryji ukrajinskoj literatury*; knyżka I. (do napadiw Tatar.). Zahalna Biblioteka, tom 1—6 (Hałyćka Nakładnia Jakowa Orensztajna w Kołomyji).

Autor zaznacza w przedmowie, że nie idzie mu wcale o stronę naukową, lecz o zaznajomienie jak najszerszych kół ruskich z literaturą rodzimą w formie przystępnej, a starannej i wykończonej. We wstępie wyjaśnia, jak powstała historya literatury i jak się rozwinęła, a następnie omawia bibliografię literatury ruskiej. Właściwą pracę podzielił na sześć części, starając się objąć w każdej z nich jaknajdokładniej i najwszechstronniej pewien okres lub pewien rodzaj literatury, ale tak, by ten podział czytelnikowi nie dawał się wcale uczuć, a pomagał tylko do oryentacyi i przeglądu ogólnego. I w samym sposobie ujęcia przedmiotu widać tę staranność. Wierny teoryi Taine'a, że literatura każda jest wynikiem danego „milieu", autor najpierw opowiada o współczesnej historyi Rusi, o jej ustroju politycznym i społecznym, o obyczajach i zwyczajach, o wierzeniach i obrzędach, kreśli obraz życia kniaziów i ich drużyn, mówi dużo o kupiectwie i życiu zakonnem, o stosunkach z sąsiadami i wzajemnych wpływach. I dopiero na tak opracowanem tle kreśli historyę literatury ruskiej.

Cel popularny wydawnictwa i szczupłe ramy książki nie pozwoliły na należyte rozwinięcie przedmiotu; autor mówi tylko o tem, co najcharakterystyczniejszego i najpiękniejszego w jego ojczystem piśmiennictwie. Stara się jednak nie pomijać niczego przy zachowaniu należytej perspe-

ktywy i wysuwając na pierwszy plan momenty najważniejsze, jak np.: wpływy bizantyńskie (choć może zbyt umniejsza ich znaczenie); wielkie znaczenie Łuki Żydjaty i Ilaryona i powstałe przez nich dwa różne kierunki literackie; kronikę tzw. Nestorową i t. d. „Słowu o pułku Igora" — które sam w 1905 r. przełożył pięknie i wybornie na język polski, a którem, jak we wstępie do tegoż tłómaczenia mówi, zajmuje się od wczesnej młodości — poświęcił autor osobny, dłuższy rozdział.

Starając się udowodnić autentyczność utworu i przedstawiwszy szczegółowo tło historyczne „Słowa o pułku", przechodzi autor do właściwej oceny dzieła, roztaczając przed czytelnikiem jak najdokładniej cały przepych kolorytu i obrazów, wysoce artystyczne ujęcie i przeprowadzenie tego jedynego w swym rodzaju poematu.

Należałoby jeszcze podnieść znaczną ilość dobrze dobranych, a ciekawych cytatów, na które się autor często powołuje, a które urozmaicają bardzo ładny, żywy i barwny, a przejrzysty styl książki. *Br. K.*

Franciszek Morawski: *Z walki dwóch duchów.* Kraków, nakład drukarni W. Anczyca i Sp., 1909 r. —

Książkę tę możnaby uważać za tom drugi wydanej w roku 1906, pt. „Z zachodnich kresów", o której mieliśmy sposobność mówić w zeszycie lipcowym 1906 r. Jestto znów zbiór dalszych nowych artykułów i rozpraw, powstałych wśród różnych okoliczności, a mających za zadanie informować o życiu i o istotnym stanie sprawy polskiej pod pruskim zaborem. Autorowi idzie o wykazanie, że mimo nader wrogich okoliczności sprawa nasza stoi coraz lepiej i że coraz więcej możemy mieć nadziei. Na ziemię poznańską nie należy patrzeć, jako na lud męczenników, ale jako na naród twardy, złożony z dzielnych pracowników, który przed wrogim naporem i gwałtem ma zawsze jedną, a zawsze skuteczną broń: mrówczą, pozytywną pracę. I bylebyśmy wytrwali w takim systemie obrony, to będziemy panami przyszłości, bo wróg wcześniej czy później zwali się sam w przepaść, którą dla nas już od wieku kopie. I rzeczywiście z postaci, z któremi nas autor zaznajamia w swem dziele, przebija ta wielka, niespożyta tężyzna i pewność siebie, wypływająca z poczucia własnej mocy; wieje optymizm dziwny tam, gdzie każdy dzień zdaje się wróżyć nową klęskę. I czyto będziemy objeżdżać wsi wielkopolskie, czy przysłuchiwać się rozmowie dorobkiewicza żyda bankiera, czy to junkier Prusak w niepewności chwil ostatnich odsłoni nam tajnie swych myśli, czy wreszcie polski właściciel dóbr pokaże swe wzorowe gospodarstwo i zakreśli szeroki plan przyszłości, czy też będziemy obecni przy strejku szkolnym i cichaczem zajrzymy w głąb dusz gnębicieli poznańskich dzieci, wszędzie spotkamy jedno i to samo. Wszędzie wiara i optymizm polski idzie w parze z pesymizmem i niepewnością trzeźwo patrzącego Niemca niehakatysty. Poznańczyk bez trwogi patrzy na widmo wywłaszczenia, a drży przed niem bogaty ordynat Niemiec, nawet w głębi Rzeszy. Galicyanin i Królewiak w troskliwej niepewności boi się, czy trzeci zabór wytrwa, a ten zabór ciągle kroczy naprzód; z rozpaczą trwogi myśli się o męczeństwie dzieci poznańskich, a one przecież nie straciły ducha.

Otucha wieje z książki p. Morawskiego, a czytelnik zasugestyonowany gorącymi, a przecież rzeczowymi wywodami autora, wierzy mu chętnie. Bo choć ton dzieła, jak dla nas, wydaje nam się zbyt optymistyczny, musimy jednak uznać, że autor na poparcie swych słów, przytacza cały szereg faktów i okoliczności.

„Z walki dwóch duchów“ należy do tych książek, które się z radością wita i odczytuje, a o których się długo pamięta, myśli i mówi. Przyczynia się do tego wielce forma dzieła, równie dobra w ustępach poważnych i rozprawach, jak w pisanym tonem lekkiej noweli. Jest ona, również jak i treść dzieła prawdziwie doborową. *Br. K.*

Paul Kühnel: *Finden sich noch Spuren der Slaven im mittleren und westlichen Hannower?* (Forschungen zur Gesch. Niedersachsens I. B. 5 T.) Hannower u. Leipzig 1907, str. 48 (z planami wsi).

Autor cennej rozprawy nie po raz pierwszy zabiał głos w sprawie oznaczenia granic zachodnich siedzib dawnych Słowian. Prócz kilku drobnych rozpraw, znaną jest zwłaszcza większa a źródłowa praca p. t. „Slawische Orts- und Flurnamen im Lüneburgischen (I—III).

Autor odznacza się wielką sumiennością w badaniu wszelkich źródeł a zarazem pochwały godną ostrożnością w wydawaniu sądów w kwestyach, zwłaszcza chwiejnych. Badaniom śladów Słowiańszczyzny na zachodzie poświęcił szereg lat mrówczej pracy — kto wie, czy nie za wiele trudów i czasu, wobec poważnych prac prof. W. Kętrzyńskiego, który wcześniej od autora doszedł do tychsamych niemal wniosków. (Por. zwłaszcza rzecz W. K. „O Słowianach mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą a czeską granicą“. T. XL. Rozpr. Akad. Umiej. Kraków, 1899 Str. 142).

Mianowicie dowodzi w swej książce Kühnel, że słowiańskie osady sięgały daleko za zachód, za rzekę Wezerę, Werrę i Fuldę; opiera się przytem na bogatych zbiorach dokumentów, zapisków, kronik, map i spisów katastralnych prowincyi hannowerskiej, tudzież na głośnych dziełach Dra H. Ellingheisa, odnoszących się do dolno-niemieckich nazw miejscowości w tamtych okolicach i na dolno-niemieckim słowniku Lübbecka.

Autor w bardzo szczegółowy sposób bada nazwy miejscowości, starając się z ich pochodzenia wyprowadzić wnioski co do osiedlenia Słowian na dzisiejszem terytoryum niemieckiem. Pozostawiając kwestyę językową w tej pracy specyalistom, którzy ją odpowiednio ocenią[1]), nie wdaję się w roztrząsania wywodów autora co do niektórych nazw miejscowości, mających przedstawiać pierwotne siedziby Wendów. Zaznaczam tylko, że i tu postępuje autor z jak największą ostrożnością, z iście niemiecką drobiazgowością, a — co najważniejsza, jak rzadko u Niemców w tego rodzaju pracach — z zupełną bezstronnością. Dochodzi do twierdzenia, że im dalej iść od Luneburga na zachód i na południowy zachód, tem częstsze napotyka się nazwy dolno-niemieckie obok słowiańskich. Z wielu też cech ze-

---

[1]) Zrobił to po części Łużyczanin Dr. E. Muka w sprawozdaniu z tej książki, pomieszczonem w Слов. Извѣстіяхъ Nr. 7, (1908), str. 384.

wnętrznych, czysto gospodarczej natury, jak zabudowania wsi, sposobu budowania wedle tradycyi „wendyjskiej“ („krągłe wsi“), z ogrodów warzywnych i komór, wnosi autor często o pierwotnem słowiańskiem pochodzeniu miejscowości, które później zajęli Sasi.

W zakończeniu zastanawia się Kühnel nad czasem osiedlenia się Słowian-Wendów w ziemiach zachodnio-niemieckich, a zwłaszcza w Hannowerskiem.

Praca cała niemieckiego uczonego dzieli się na cztery części, zależnie od części terytoryum niemieckiego, które bada, a więc 1) ziemia luneburska (zachodnia część), 2) okolica m. Stade w Hannowerskiem, 3) ziemia hannowerska, 4) prowincye Hildesheim i Goslar.

Praca to bardzo cenna w wynikach i roztrząsaniach, mimo, że w ostatecznym swym rezultacie powtarza w znacznej części sądy, wypowiedziane już przez W. Kętrzyńskiego — cenna zarówno dla badacza języków, jak i dla historyka, zarówno dla ludoznawcy, jak i geografa. Zawiera ona też dosyć drobnych, ale bardzo ciekawych szczegółów, zwłaszcza dla historyka, o zabytkach z przeszłości, jak n. p. pamiętnik A. Zylingena (r. 1241), gdzie jest mowa o Słowianach, akt fundatorski m. Hildesheimu biskupa Brunona (1154 r.), akt, w którym wspomina się szereg słowiańskich nazw miejscowości w ziemi hannowerskiej, w okolicy Goslaru.

tg.

Dr. Friedrich Lorentz: *Slovinzische Grammatik*, Petersburg 1903, (Str. XX. i 392); *Slovinzische Texte*. Tamże, 1905, (Str. IV + 150); *Slovinzisches Wörterbuch* (Erster Teil A-O). Tamże 1908 (Str. IV + 740).

Imperatorska Akademia nauk zasłużyła się bardzo, wydając od szeregu lat cenne studya niemieckiego slawisty nad językiem najbiedniejszego z słowiańskich ludów, tych, słusznie nazwanych „ostatnich Mohikanów“ słowiańskich na północnym zachodzie. Słowińcy[1]) — to ostatnie, konające cienie Słowiańszczyzny północno-zachodniej, plemienna gałąź Kaszubów — wedle prof. T. D. Florinskiego[2]), natomiast wedle Lorentza zupełnie samoistny szczep słowiański. Zamieszkują oni okolice nad jeziorem gardzeńskiem i tworzą wraz z Kaszubami i t. zw. Kabatkami (nad rz. Łebą i jeziorem łebskiem) i Karwotkami (w pow. lęborskim i słupskim) szczątki licznego niegdyś plemienia słowiańskich Pomorzan Liczba ich ogólna — wedle Lorentza — włączając w nią i Kaszubów, rozrzuconych po całych Niemczech i Kaszubów amerykańskich, wynosi dzisiaj cośkolwiek ponad **360.000** dusz; nieustannie się jednak i zwłaszcza w ostatnich czasach zmniejsza, tak, że lata życia zachodniej części tego nieszczęsnego szczepu, wystawionego przy tem na ciosy polityki germanizatorskiej Prus, rzec można, dziś już policzone.

Prace językowe Dra Lorentza mają bardzo doniosłe znaczenie właśnie z tego powodu, że w sposób poważny, naukowy, przekazują po-

[1]) Umyślnie nazywam ich tak, a nie Słowieńcami, jakby właściwie należało — dla odróżnienia od Słowieńców południowych, mieszkańców Krainy, Korutanii, Stryryi, Gorycyi, Gradyski, Istryi i cząstki Węgier.

[2]) Сѣверо-западные слав. языки („Лекціи по слав. языкознанію“. Т. II.) Kijów 1897 — o języku kaszubskim (str. 548—582).

tomności te ciekawe szczątki języka, który z dnia na dzień zatraca swoją pierwotną żywotność i — jak słusznie gdzieś się o nim wyrażono — jedynie jeszcze na cmentarzu znajduje dla siebie przytułek. Cenne są prace Lorentza i z tego względu, że dają pełny obraz jednej cząstki narzecza kaszubskiego, rozbitego podobnie jak i samo społeczeństwo kaszubskie, na mnóstwo gwar i dyalektów — tak, że każdy powiat, niemal każda wieś ma swój odrębny, gwarowy język.

Lorentz zajął się językiem t. zw. Słowińców, a zatem narzeczem północnem, które wraz z gwarą t. zw. Kabatków zajmuje najbardziej północny kąt terytoryum językowego kaszubskiego, a wraz z gwarami: połebską, żarnowską, bylacką i rebocką (na półwyspie helskim) stanowi północną grupę gwarową terytoryum kaszubskiego. Jest to narzecze, które uległo najsilniejszym wpływom germanizmu, zarówno pod względem leksykalnym, jak i gramatycznym; bardziej natomiast oddaliło się od języka polskiego, z którym w najbliższem jest pokrewieństwie.

Gramatyka Lorentza obejmuje głosownię i naukę o formach (morfologię), teksty zaś, to charakterystyczne zapiski w formie prozaicznych i poetycznych opowiadań, gadek i piosnek słowińskich, — nieliczne ślady dawnej żywotności języka kaszubskiego. Dobrze, że je zebrano i wydano, bo niedaleka już może przyszłość, w której usłyszeć tego rodzaju teksty w mowie żywej będzie wprost niemożliwością. W porównaniu ze zbiorami dotychczasowymi, jak F. Cenowy, Berka-Biskupskiego, Nadmorskiego i i. dostarczają teksty Lorentza wiele materyału nowego. (Pierwszy zbiór wydał już tensam autor w Poznaniu, w r. 1885 pt. „Volkssagen, Aberglauben, Gebräuche und Märchen aus dem östlichen Hinterpommern“). Słownik wreszcie, świeżo ogłoszony, podaje dotychczas pierwszą połowę całego słowozbioru narzecza słowińskiego, opartego na dokładnej znajomości narzecza i drobiazgowem zbadaniu materyałów w niem przechowanych, czy to w zbiorach, czy też w żywej mowie. Wszystkie trzy prace niemieckiego uczonego wydane fonetycznie, z uwzględnieniem przyjętych przez wydawnictwa naukowe znaków graficznych, notujących skrupulatnie fonetyczne brzmienie wyrazów.

Dodaję, że Lorentz już poprzednio odkrył, zbadał, objaśnił i wydał znaczną ilość starych tekstów kaszubskich (z XVII i XVIII w.), mianowicie w XX. tomie Jagićowego „Archiv für slavische Philologie“, w rozprawie: „Zur älteren kaschubischen Literatur“. (str. 556—577).

Dla zupełności wspomnieć należy, że Lorentz nie pierwszy jest, który się zajął specyalnie Słowińcami i ich językiem. Właściwości ich gwary podał już w części, choć bez należytego oświetlenia naukowego, pierwszy gramatyk i odrodziciel życia kaszubskiego Dra Floryan Cenowa w swej gramatyce p. t. „Zarés do Gramatiki kašébsko-słowinskiè mòvé“ (Poznań 1879). Nadto zajmował się tym przedmiotem naukowo J. Hanusz (T. VIII. Rozpr. Ak. Um.), G. Bronisch: „Kaschubische Dialektstudien“ (Lipsk 1898), St. Ramułt w głośnym słowniku kaszubskim (Kraków 1893, tudzież w *Ludzie* r. 1900), J. A. Mikkola (Извѣст. Акад. 1897), T. Florinskij (p. w. Лекцiи), Dr. Nadmorski (J. L. Kozłowski, w *Ludzie* 1899), F. Tetzner: (Die Kaschuben-Slovinzen“, Weimar 1897, I. Rost: („Die Sprachreste der

Dravaeno-Polaben im Hannöverschen") Lipsk 1907 i przygodnie wielu innych [1]).

Do najcenniejszych jednak i najpoważniejszych prac nad Kaszubami należą studya docenta krakowskiej wszechnicy, Dra Kaz. Nitscha, które uzupełniają, pogłębiają i w niektórych kwestyach sprowadzają na właściwe tory wyniki dotychczasowych badań uczonych. Dzięki długoletnim studyom nad językiem kaszubskim i dokładnej jego znajomości gwar pomorsko-pruskich, zdaje się on być powołanym — jak się o nim wyrażono w Rocz. Tow. Nauk w Toruniu (1908, str. 187) — do rozstrzygnięcia zagadnienia kaszubskiego i związanego z tem pytania, w jakim stosunku stoi do polszczyzny język połabski i gwara słowińska [2]).

Z jego też oceny prac Lorentza (Rocz. slaw. I. str. 129) przytaczam sąd ogólny: „jako niezwykle pełne i nadzwyczaj systematyczne opracowanie bardzo ciekawego i ważnego dyalektu, zachowa dzieło Lorentza zawsze swą wartość, pomimo, że przecenia on znaczenie tej mowy, przesadza tak w transkrypcyi i systematyczności, jak w przenoszeniu faktów nowych do epoki prasłowiańskiej. Niepospolita wytrwałość autora obdarzy nas jeszcze zapewne wyczerpującym słownikiem słowińskim i systematycznym obrazem wszystkich gwar kaszubskich". *T. S. G.*

S. Brzozowski. *Legenda Młodej Polski.* Lwów 1910 r.

Nie myślę pisać szczegółowej recenzyi o książce p. Brzozowskiego, pragnę tylko zwrócić na nią uwagę. Jest to w całem znaczeniu tego wyrazu męska książka. W dwóch słowach: rachunek sumienia, — albo bilans narodowy. Wobec tego, że od kilkunastu lat rozpanoszył się u nas tani estetyzm — taki sobie tuzinkowy, wobec tego, że studenci i studentki gadają tylko o „literaturze": czas był, aby nareszcie ktoś zwrócił uwagę na to, że literatura jest to rzecz wielka i trudna, ale nie ona jedna stanowi życie. Podstawą życia i ideą jest praca, nie przesiadywanie w biurach i robienie wierszy, admiracye aktorstwa i zachwyty nad Wyspiańskim! Że wyraźnie i śmiało stawił tak rzeczy p. Brzozowski, w tem wielka jego zasługa

P. Brzozowski kładzie uwagę naprzód na trzeźwość i jasność sądu, na wyrobienie zmysłu krytycznego i stosowanie go przedewszystkiem do życia, a nie wyłącznie do sztuki, a potem bardzo słusznie podnosi, że najważniejszą siłą jest wola. I jeżeli komu, to nam potrzeba sobie wyrobić te dwie siły: jasność sądu i hart woli.

Oto so pisze o „Dumie o Hetmanie".

„Zborowski symbolizuje tu buntującą się niewolnicę psychikę. Batory dziejową wolę.

---

[1]) Szczegółowy przegląd prac, odnoszących się do dziejów, życia, języka i piśmiennictwa Słowińców i Kaszubów, znajdą ciekawi w „Rocznikach Towarzystwa Naukowego w Toruniu" (R. 1—15), a także w krytycznym rozbiorze bibliografii za r. 1893—1900 Dr. St. Dobrzyckiego, drukowanym w VI. t. „Prac filologicznych" warszawskich. (cz. I. R 1907, str. 326—381).

[2]) Najważniejsze prace tego slawisty są: „Dyalekty Prus Zachodnich". Cz. I. i II. (wyd. Akad. Umiej. w Krakowie), dtto Prus Wschodnich (tamże), rozprawy w „Archiv. f. slav. Philol."(t. XXIX. 1907), w „Annee linguistique" (III. 1908) w „Roczniku slawistycznym" (Recenzye prac Lorentza. Kraków, 1908).

„Zagadnienie zostało postawione, i Żeromski nie chciał go rozwiązać. Nie chciał, bo uznawszy w Batorym rozum polski, nie miał prawa go opuszczać. Uczynił zaś to właśnie, zawiesił wszystko na pytajniku... Wieczna polska niedojrzałość, chęć oszukania samego siebie: Szujski, Wielopolski, każdy kto reprezentował w Polsce dziejową wolę, przeszli to piekło buntującego się obłudnie uczucia“...

Na innem zaś miejscu:

„Wtedy zrozumiemy głęboko narodową pracę, jaką spełniają u nas ludzie, przez narodową lekkomyślność ku straszliwej krzywdzie narodu tak głęboko zapoznawani, jak Szujski...“

Oczywiście książka nie jest idealna. Oprócz okropnego po prostu języka szkodzi jej jednostronność, zamykająca oczy na wszystko, cokolwiek nie jest proletaryatem. Na obronę autora można chyba powiedzieć, że w Królestwie i w Galicyi jest to jedyna warstwa (z innych tylko jednostki) pracująca na dobrobyt narodowy. Stosunki wielko-polskie inne są, ale tych p. B. nie zna.

Dr. Paweł Spandowski: *Towarzystwa przemysłowe.* Die polnischen Gewerbevereine im Rahmen der Entwicklung eines polnischen gewerblichen Mittelstandes. Posen 1909.

Znany z różnych publikacyi p. dyrektor Spandowski, bezwątpienia jeden z najzdolniejszych naszych młodych ekonomistów, obecnie ogłosił historyę towarzystw przemysłowych pod zaborem pruskim. Towarzystwa przemysłowe jednoczą w sobie rzemieślników. Pierwsze towarzystwo powstało w Poznaniu r. 1849. Dzisiaj jest 144 towarzystw z przeszło 10.000 członków zorganizowanych w Związek, dzielący się na 23 okręgi Towarzystwa te przechodziły różne czasy lepsze i gorsze; jakiś czas tylko towarzystwo poznańskie istniało a i to tylko dzięki dorocznym balom. Tłumaczy się to tem, że towarzystwa początkowo nie powstawały z samorzutnej potrzeby ludności miejskiej, ale inteligencya zakładała je dla rzemieślników. Dlatego też nie są to fachowe ściśle organizacye, ale mają przedewszystkiem cele oświatowo-kulturalne.

P. dyr. Spandowski nie ograniczył się jednak na przedstawieniu, wyliczeniu i opisie samych towarzystw. Przeciwnie, ujął je jako część całości, wystawił na tle obszernem i doskonale podmalowanem całego ruchu miast polskich, wykazał łączność pomiędzy towarzystwami i spółkami i t. p. Należy się spodziewać, że w polskiej edycyi swojego dzieła[1]) uwzględni jeszcze handel, kupiectwo i przemysł wielki i da tak całkowity materyał do historyi mieszczaństwa i miast wielkopolskich. Za szczególniejszą zasługę przy tym obrazie historycznym poczytujemy autorowi, że nie rozbił dziejów zaboru polskiego na okresy kilko lub kilkunasto-letnie, ale starał się ująć je w dwa wielkie działy. Tylko proponowałbym inne nazwy: nie peryod upadku, ale peryod pierwszego rozwoju, bo takim rozwojem bezwątpienia czas od r. 1830—50 mniej więcej i peryod drugiego rozwoju.

Co się tyczy samego przedstawienia rzeczy, uważamy je za słuszne, tylko wydaje się, że p. Spandowski niedocenia Marcinkowskiego.

[1]) Język niemiecki tłumaczy się charakterem pracy doktorskiej.

a przecenia Szymańskiego. Drugi jeszcze szczegół, podrzędny coprawda, ale osobliwy: Dlaczego p. S. używa wszędzie nazw zniemczonych, kiedy nawet, co mu się bardzo chwali, imiona chrzestne wypisuje po polsku?

Poza tem, przedstawienie jest poprostu wyborne. Nie można pominąć niezwykłej bezstronności, z jaką opisuje autor prześladowania organizacyi polskich przez rząd i policyę. I właśnie ten spokojny i rzeczowy ton uwydatnia tem lepiej trudności, z jakiemi walczą nasze stowarzyszenia, tudzież niezłomność woli, trzeźwość umysłu ludności wielkopolskiej.

K. J. K.

KRONIKA.

O nowym banku przemysłowym galicyjskim, który dla uprzemysłowienia Galicyi ma być założony z pomocą kapitału niemieckiego, w ten sposób mianowicie, że 5 milionów koron złoży kraj, a drugie tyle „Niederösterreichische Escomptgesellschaft“ w Wiedniu (ten sam stosunek ma być zachowywany przy dalszem podwyższaniu kapitału aż do 25 milionów) pisze *Moravska Orlice*, najpoważniejsze pismo morawskie, w numerze noworocznym w artykule pt. „Uprzemysłowienie Galicyi“ (industrialisace Haliče). Czesi nie mogą się wydziwić, że straciwszy kilka tysięcy hektarów, które przeszły w ręce niemieckie „niemal pod samemi bramami Krakowa“, nie poprzestając na tem, że „kopalnie węgla w okolicy Krakowa dostały się na całe wieki Niemcom“, wywołuje Galicya na siebie „niebezpieczeństwo jeszcze o wiele większe“. Zdaniem czeskiem Galicya zbyt niedocenia sił własnych i pomocy niemieckiego kapitału nie potrzebuje. Rozwój rolnictwa jest w Galicyi — zdaniem *Moravské Orlice* — świetny i da rezultaty nie gorsze od czeskiego, gdy oświata ludowa podniesie się jeszcze wyżej. Akcya zmierzająca do podniesienia rzemiosł jest w Galicyi bez kwestyi lepszą, niż w Czechach i na Morawach. Starania o systematyczne wydoskonalenie roboty rękodzielniczej i o zbyt wyrobów rzemieślniczych, zajmują już od dawnych lat umysły w Galicyi, nader bystre i ruchliwe, a są to najstarsze w Austryi starania tego rodzaju i najpomyślniejsze. Rzemiosła popiera się w Galicyi w duchu czasu; pomoc skuteczna dostaje się temu, co zdatne do życia; nie zakopuje się pieniędzy w rodzajach rzemiosł skazanych już na zamarcie, a szkoły zawodowe rzemieślnicze zakłada się znacznie intenzywniej, niż choćby u nas na Morawach“. „Kraj (Galicya) popiera zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych, udzielając pożyczek bezprocentowych, czego nie robi się całkiem w Czechach, ani na Morawach“.

„Mając na uwadze te objawy, tak wielce pocieszające, powtarzamy, że Galicya z pewnością nie potrzebuje tego, żeby musiała zakładać swój bank przemysłowy z pomocą kapitału niemieckiego i to z pomocą osób znanych nietylko ze swych czynności finansowych, ale też z dążeń germanizatorskich. Nie zachodzi wcale potrzeba, żeby nowy bank przemysłowy galicyjski zakładano w sposób ubliżający Galicyi“.

Skoro „Escomptgesellschaft“ daje połowę kapitału, a więc otrzyma też połowę krzeseł w Radzie nadzorczej i jednego dyrektora. Przezesem tego Towarzystwa jest Eksc. baron Schwegel, głowa niemieckich i germanizujących właścicieli dóbr w Krainie, a obok niego zasiada w Radzie nadzorczej Kestranek, osławiony ze skandalicznych spraw w Pradze, wielki aferzysta, a jeszcze większy germanizator. (Co za zaszczyt dla Polaków, dostać się pod komendę Kestranka — raj dla „kubaniarzy“).

Zdaniem Czechów Galicyę stać na to, żeby własnemi siłami bank taki założyć i „prowadzić go po polsku, z czysto polską radą nadzorczą i z polskimi dyrektorami“. Arystokracya galicyjska

posiada aż nazbyt kapitałów, złożonych w obcych bankach. Gdyby już koniecznie trzeba było pomocy, znalazłaby się w Czechach i częściowo we Francyi.

„Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że kapitaliści niemieccy opanowaliby przedewszystkiem okolice nadające się najlepiej do zaprowadzenia przemysłu, a galicyjscy udziałowcy, dzieląc się z nimi zyskami, osłabiliby swoje stanowisko; Galicyanie byliby stale spychani na drugi plan".

„Byłoby to nieszczęsną, fatalną pomyłką, jeżeli inicyatorowie tej myśli mniemają, że będą mieć polski bank przemysłowy i polski przemysł, gdy wejdą w łączność z przedsiębiorstwem finansowem dolnoaustryackiem. Jeżeli się dopuszczą tego fatalnego błędu, nasprowadza się niemieckiego robotnika do gmin galicyjskich, ziemia polska będzie przechodziła do rąk niemieckich właścicieli, powstaną na niej kolonie niemieckie. To samo, przeciw czemu burzy się każda kropla krwi patryotycznej polskiej, gdy się to dzieje w Wielkopolsce pod naciskiem siły nieprzyjaznej, to samo będzie się dziać w Galicyi za dobrowolną zgodą i przy współdziałaniu polskich czynników. Polacy w Galicyi winni to rozważyć należycie, że każda drużyna niemieckich robotników, każdy dyrektor i majster fabryczny Niemiec, oznacza niebezpieczeństwo narodowe".

Czeska ekspozytura handlowa w Warszawie. Czeskie Stowarzyszenie narodowo-ekonomiczne (česká národohospodářská společnost) w Bernie na Morawach zwołało osobne zebranie celem omówienia stosunków handlowych czesko-polskich. Referentem był p. Melichar. W dyskusyi zabierało głos kilkanaście osób z najpoważniejszych sfer handlowych i przemysłowych. Jednomyślnie wyrażono życzenie, żeby działać celowo i systematycznie w polsko czeskiej dziedzinie handlowej, otwartej dla wzajemnych stosunków tak szczęśliwie przez wystawę częstochowską. Przy centralnem stowarzyszeniu przemysłowców morawskich (ustředni spolek moravských živnostníků) utworzył się komitet do prac przygotowawczych, z prawem kooptacyi, ażeby zbadać warunki i sposoby, jakby można było w czasie jak najkrótszym założyć w Warszawie czeską ekspozyturę handlową i informacyjną, która stanowiłaby uzupełnienie w niejednej mierze prac warszawskiego konsulatu austryackiego. Komitetowi centralnego stowarzyszenia przemysłowców morawskich polecono, ażeby po ukończeniu prac informacyjnych rozesłał swój elaborat stronom interesowanym, podając zarazem od siebie konkretne wnioski. W końcu uchwaliło zgromadzenie przyjąć wniosek wydziału stwarzyszenia narodowo-ekonomicznego w Bernie o założenie związku kupiectwa słowiańskiego w Austryi, poruczając wykonanie tego planu stowarzyszeniu „Obchodnicka (kupiecka) Jednota" w Bernie. Wszystkie te rezolucye przeszły jednomyślnie.

Polski robotnik rolny w Czechach. Nasz wędrujący „na Saksy" robotnik rolny pożądany jest także w Czechach. Próby dokonane na mniejszą skalę wydały dobre wyniki. Pożądanem byłoby zwrócić naszą „sezonową" emigracyę jak najbardziej w strony czeskie, gdzie i robotnik nasz porozumieć się może z otoczeniem i przez to samo niejednej rzeczy dobrej nauczyć wśród ludu o tak wysokim poziomie oświaty — i gdzie prawdopodobieństwo wyzysku zredukowane jest do minimum. Jak zaś czescy rolnicy zorganizowali dokładnie akcyę o pozyskanie tej siły roboczej, świadczy następujący komunikat, zamieszczony przez dzienniki czeskie:

„Zwracamy uwagę wszystkich gospodarzy, dzierżawców i właścicieli dóbr pragnących zamówić sobie na rok 1910 robotników rolnych z Galicyi za pośrednictwem krajowej Centrali praskiej, żeby w myśl prospektów, rozesłanych wszystkim interesantom, pospieszyli z tymczasowem swem zgłoszeniem się na pewno do końca grudnia, a to w swym własnym interesie. Według tych tymczasowych zapisów urządzone będą następnie stacye do transportów, w ten sposób, że jeżeli z pewnej okolicy zgłosi się więcej interesantów, otrzymają robotnika dostawionego aż na najbliższą stacyę kolejową. Inaczej musieliby pracodawcy jeździć po swych robotników na jaką odleglejszą stacyę, nie mogąc często ani korzystać z dopuszczalnej zniżki ceny jazdy. Zgłoszenia tymczasowe można nadsyłać do któregokolwiek z powiatowych biur bezpłatnego pośrednictwa pracy, jakoteż do krajowych Centrali w Czeskich Budziejowicach, Hradcu Królowej, w Libercu, w Pilznie i w Pradze III ul. Tomášska 4. Wszystkie wymienione biura

udzielają na żądanie informacyj i wydadzą też każdemu interesantowi egzemplarz drukowany wyjaśnień i blankiet do zgłoszenia się z zamówieniem na robotników".

Czeska kronika.

† **Ś. p. hr. Jan Harrach.** Zmarły dnia 12 grudnia w Wiedniu w sędziwym wieku 81 lat hr. Jan Harrach był zjawiskiem wyjątkowem wśród arystokracyi czeskiej, po prostu przez to, że uważał się za Czecha. Pojęcie czeskości nie było u niego geograficznem, jak u olbrzymiej większości tej arystokracyi, która sama nie wie, do jakiego należy narodu i właściwie do żadnego należeć nie chce; nie będąc ani „tschechisch", ani „deutsch", jest sobie „böhmisch", co oznacza czeskość geograficzną, skoro z Czech pochodzi i w Czechach ma dobra. Hrabia Harrach był Czechem nie geograficznie i nie etnograficznie, ale patryotycznie. Rara avis tego stanu na czeskiej ziemi.

Był obrońcą mniejszości czeskiej w Wiedniu. Rozwój wiedeńskiej czeszczyzny dokonywał się nieraz wprost pod jego protekcyą. Nie wahał się stanąć w szeregu założycieli czeskich instytucyj narodowych w Wiedniu, jak np. towarzystwa ku zakładaniu szkół czeskich „Komensky", towarzystwa „Slovanské Besedy i t. p. W tym jeszcze roku dał 100.000 K na kupno kościoła dla Czechów wiedeńskich. Brał też udział w ugruntowaniu czeskiego dziennikarstwa w Wiedniu i wogóle wszelkich spraw kulturalnych czeskiego Wiednia. W latach młodszych, kiedy nastrój czeskiej delegacyi w Wiedniu był jeszcze dość konserwatywny i odpowiadał bardziej zapatrywaniom hr. Harracha, był pałac jego na Herrengasse ogniskiem polityki czeskiej i niejedna ważna akcya polityczna urobiła się i dojrzała w jego pomieszkaniu. W ostatnich latach niezadowolony z „radykalizmu" czeskiego usuwał się coraz bardziej od polityki, ograniczając swą rolę raczej do reprezentacyjnej, ale nie szczędząc nigdy swego mieszka na cele narodowe.

Wszystkie stronnictwa czeskie złożyły hołd jego pamięci, nawet najradykalniejsze.

Szkoda, że zmarły nie pozostawił potomka, który byłby dziedzicem patryotycznej tradycyi Harrachów.

† **Hermenegild Jireček,** znakomity prawnik, zmarł w Wysokiem Mycie dnia 29-go grudnia 1909 roku. Urodzony 1827 we Wysokiem Mycie, odbywszy studya w Litomyślu i w Pradze, wstąpił w r. 1854 do służby rządowej. Karyerę piśmienniczą rozpoczął w r. 1844 i to od nowelistyki, napisał jeden dramat, wydał nawet antologię humorystyki czeskiej — poczem nastąpić miały prace historyczno-prawnicze. — Główne z nich: Župy české a moravské, Sbírka listin uhersko-slovenských, obok wielu innych, aż w r. 1863 zdążył wydać część pierwszą wielkiego dzieła: Slovanské právo w Čechách, którego do r. 1872 wyszły części trzy, doprowadzone tylko jednak do XIV wieku. W r. 1866 rozpoczął wydawnictwo: Codex iuris bohemici. W r. 1880 wydał: Svod zákonuv slovanských, a w r. 1893: Antiquae Bohemiae usque ad exitum saeculi XII topographia historica. Przytaczamy tylko te prace zmarłego, które i dla polskich uczonych największe miały znaczenie. Niesposób wymienić całego jego dorobku literackiego, gdyż bibliografia jego obejmowała już w r. 1894 (podczas 50-letniego jubileuszu) 110 tytułów.

Pamięć Hermenegilda Jirečka drogą jest Polakom; jako radca ministeryalny czynny był przy zakładaniu krakowskiej Akademii Umiejętności i ułatwiał nam wielce tę sprawę w latach 1871—73.

W karyerze urzędniczej doszedł do najwyższego szczebla, zostawszy w r. 1894 szefem sekcyjnym w ministerstwie oświaty. W r. 1881 otrzymał szlachectwo z „predykatem": ze Samokova (w Czechach ma to wielkie znaczenie).

W latach 1874—77 był nauczycielem cesarzewicza Rudolfa, ucząc go języka i literatury czeskiej.

Odróżniać należy Hermenegilda Jirečka od starszego jego brata Józefa (1825—1888), historyka literatury czeskiej (który bronił autentyczności rękopisu królodworskiego) i syna tegoż, Józefa Konstantego, (ur. 1853) historyka Bośny i Bułgaryi, bułgarskiego ministra oświaty,

a następnie profesora języków i starożytności słowiańskich w uniwersytecie wiedeńskim.

Otwarcie szkoły czeskiej w Posztornej. Mamy do zapisania fakt, nadający się doskonale do scharakteryzowania stosunków w Austryi. Posztorna jest gminą czeską w Austryi Dolnej i dlatego czeskość drażniła tem bardziej niemieckich hegemonów. Donosiliśmy w swoim czasie o bezprawnem zamknięciu tamtejszej szkoły czeskiej i o gwałtach, jakich dopuściła się banda niemiecka, pozbierana z całej okolicy. O nadużyciach takich słyszy się — niestety — nader często; zdarza się nawet, że organy urzędowe popierają je. To prawda. Ale niemniej prawdą jest, że pokrzywdzeni mają sposoby dochodzenia swej krzywdy i jeżeli sprawy swej dopilnują, postawią w końcu na swojem. Równouprawnienie jest bowiem zasadą państwową. Niemcy używają wszelkich sposobów, żeby nie dopuścić do wprowadzenia zasady w praktykę, ale gdzie tylko Słowianie okażą zapobiegliwości i wytrwałości niemniej od Niemców — tam z a w s z e w końcu wygrywają.

W niedzielę 19 grudnia dokonano w Posztornej poświęcenia nowego bndynku szkolnego i zarazem ponownego otwarcia szkoły czeskiej, założonej przez czeskie Towarzystwo imienia Komenskiego w Wiedniu. Dziatwy szkolnej stawiło sie przeszło 300. Główną mowę wygłosił poseł do Rady Państwa, ks. Dr A. S t o j a n, proboszcz z Kromieryża.

Czesi odnieśli ogromny tryumf, pokonawszy Niemców w najdotkliwszem miejscu. Sprawa ta ma znaczenie tak zasadnicze, jak rzadko która. Warto też zwrócić uwagę, w jaki sposób obchodzili Czesi ten dzień tryumfu.

Wiemy, jak wszystkie ziemie czeskie były n a m i ę t n i e zajęte sprawą Posztorny, byłoby więc całkiem zrozumiałem, gdyby ten dzień zaznaczono demonstracyjnie w całych Czechach i gdyby w Posztornej stawił się szereg delegacyi, polityków, dziennikarzy, Sokołów itd.

Komitet posztoreński nie zawiadomił dzienników czeskich o niczem! O g ó ł d o w i e d z i a ł s i ę d o p i e r o o d o k o n a n y m f a k c i e. Oto Czesi! Nie chciano wywoływać niepotrzebnie kontrdemonstracyi niemieckiej. Czesi Niemców nie boją się, sami ich nieraz zaczepiają, ale robią to wtenczas, gdy mają w tem jakie wyrachowanie i sami pragną wywołać jaką kwestyę. Tu kwestya była już załatwiona, demonstracye i zwalczanie kontrdemonstracyi nie miałyby celu, jako n i e p o ż y t e c z n e, a więc zrobiło się wszystko po cichu.

I tak to otwarcie szkoły w Posztornej charakteryzuje nam i Austryę — i Czechów.

Dwumilionowa pożyczka Czechów wiedeńskich. Skazani co do swych potrzeb kulturalnych na łaskę i niełaskę sejmu Austryi Dolnej, Czesi wiedeńscy ułożyli w kilka tygodni plan, w którego wykonaniu nie zdoła im przeszkodzić żaden rząd ani sejm. Komitet wspólny stowarzyszeń czeskich w Wiedniu ogłasza subskrypcyę na pożyczkę na cele czeskie w Wiedniu, w wysokości dwóch milionów koron. Przedewszystkiem chodzi o wystawienie „Czeskiego Domu“ w stolicy Austryi.

Przytaczamy niektóre ustępy z komunikatu, nadesłanego dziennikom czeskim:

„Nie wywalczymy teraz praw swych drogą prawodawczą. Pozostaje nam tylko pomoc własna, oparta na żelaznej świadomej celu organizacyi i to na podstawie ekonomicznej a ludowej. Dotychczas nie dało się przeprowadzić we Wiedniu takiej organizacyi, bo brak jej dogodnego i godnego sprawy ogniska, gdzieby się zbiegały i wzrastały wszystkie liczne już dzisiaj czynniki naszego życia towarzyskiego, gospodarskiego i oświatowego. Ogniskiem takiem będzie Dom Czeski w Wiedniu, którego założeniem zajmuje się osobne stowarzyszenie, jako towarzystwo z ograniczoną poręką z siedzibą w Wiedniu, I. Tiefer Graben 7. — Zgodnie ze swem przeznaczeniem oświatowem, ludowo-wychowawczem, ma Dom Czeski pomieścić pod swą gościnną strzechą: teatr na osób mniej więcej 800, bibliotekę publiczną (10.000 tomów) i czytelnię, salę koncertową i odczytową, jakoteż lokale dla licznych towarzystw i organizacyj, słowem: Dom Czeski ma mieścić w sobie wszystko, czego wymaga życie oświatowe i towarzyskie członków narodu kulturalnego. Tym i d e a l n y m zadaniom Domu Czeskiego nada się — zdaniem

przednich naszych fachowców i finansistów — zdrowe podstawy realne, ekonomiczne: restauracyą, kawiarnią i wielkim hotelem słowiańskim,

„Chodzi tedy o przedsięwzięcie, które pod względem doniosłości i znaczenia ogólno-narodowego staje obok teatrów narodowych w Pradze i w Bernie, pod wielu względami przewyższając je. Niemożebne, żeby czeska mniejszość w Wiedniu sama sfinansowała to przedsięwzięcie (zebrano dotychczas udziałów 334,000 K, nadto na fundusz rezerwowy 31.613 K), a to ze względu na krótki czas, w którym Dom Czeski musi koniecznie stanąć. Ale to pewne ponad wszelką wątpliwość, że Czesi wiedeńscy zdołają dwumilionową pożyczkę narodową oprocentować na razie 4%, a potem wyższym procentem. Należy tylko zważyć, że mniejszość czeska w Wiedniu rośnie i porośnie nietylko ilościowo, ale dzięki Bogu również ekonomicznie — i że Wiedeń, jako stolica państwa przeważnie słowiańskiego,! odznacza się sitnym napływem obcych z ziemi czeskich i słowiańskich, a napływ ten zniewolony jest dotychczas zwracać się do przedsiębiorstw niemieckich.

„Te dwa względy starczą zamożnym warstwom narodu, żeby uznać rentowność Domu Czeskiego i żeby przez udział w tej pożyczce zaznaczyły swój zmysł dla praktycznego patryotyzmu.

„Udziały wynoszą po 20, 100, 200, 500 i 1.000 koron. Nie ponosząc żadnej ofiary materyalnej, zapewni się powstanie wielkiego przedsięwzięcia narodowego, które obali raz na zawsze bajki o niestałości naszego zamieszkania tutaj, używanej przez sfery rządowe na wymówkę dla bezwzględnej germanizacyi dziesięciu tysięcy naszej dziatwy w Wiedniu. Mniejszość półmilionowa, zorganizowana ekonomicznie i politycznie, znajdzie już potem w sobie dosyć środków materyalnych, żeby z czasem urządzić swe szkolnictwo — a także dosyć środków politycznych, żeby zmusić państwowy zarząd oświaty, iżby stanął w końcu na stanowisku sprawiedliwości i ludzkości i przejął te szkoły na koszt publiczny".

Imponująca zaiste odezwa! Jak roztropnie obmyślono całą sprawę! Uczyć nam się od Czechów tego, co nazywają „praktycznym patryotyzmem"!

Dom Czeski, mający cele idealne, będzie się rentował, da zaraz 4%, potem więcej. Nie żąda się składek, tylko pożyczek, choćby po 20 K. Zaczyna się ustalenie i zorganizowanie ostateczne Czechów wiedeńskich nie od szkół, ale od organizacyj ekonomicznych i politycznych; szkolnictwo na potem, ale też za to — na pewne!

Słowacka kronika.

(mg) **Półwiecze** *Narodnich Novin* słowackich. W r. 1860 założono w Budzyniu słowackie pismo *Peštbudimské Vědomosti*, pierwszy zaród dzisiejszych zasłużonych w narodzie *Narodnich Novin*. Pismo to przesiedliło się w r. 1870 do Turczańskiego św. Marcina, gdzie dotąd wychodzi. Tam było siedlisko Matice, tam skreślono wielki narodowy polityczny memoryał pod lipami świętomarcińskiemi. Pismo to ogniskowało długo politykę całą (lecz niestety bierną) słowacką (moskalofilską), a w fejletonie zapisało imiona wszystkich pisarzy literackich i naukowych słowackich. Toteż roczniki półwiekowych *Narodnich Novin* są najobfitszem źródłem do poznania życia słowackiego pod każdym względem.

Ksiądz Andrzej Hlinka, proboszcz w Rużomberku na Słowaczyźnie przepędził trzecie święta Bożego Narodzenia w więzieniu szegedyńskiem. Jestz drów i dobrej myśli, odkąd Watykan zniósł nałożoną na niego przez osławionego biskupa Parvy'ego suspensę a divinis, zrehabilitował go w zupełności, jako kapłana, i uznał go też proboszczem w Rużomberku. Rehabilitacya ta nie otwarła mu bram więzienia, ale dodała sił i wiary w siebie, skoro sam Rzym orzekł, że słuszność po jego stronie. Minęły od tego czasu już trzy kwartały, a biskup nie wszczął regularnego procesu kanonicznego, jak tego zażądano z Rzymu — a więc widocznie nie zamierza tego robić, nie mając do tego żadnych słusznych podstaw i rad nierad musi uznawać w ks. Hlince nadal plebana rużomberskiego.

Po uwięzieniu księdza usunięto z plebanii jego meble i złożono w jakimś składzie gminnym. Niedawno otrzymał ks. Hlinka w więzieniu upomnienie o zapłatę za przechowywanie mebli, a gdy odmówił, zaskarżono należytość. Obrońca wywodził

przed sądem, że ks. H. nie przestał być ani na chwilę proboszczem, a więc ma sam prawo domagać się odszkodowania od tego, kto meble kazał wynieść. Gmina wolała odstąpić od skargi, a meble powróciły jakoś niebawem na plebanię.

Sam proboszcz miałby opuścić więzienie 23 lutego 1910 — ale może go zatrzymają dalej w „śledczem“, bo od półtora już roku przygotowuje się nowy proces prasowy przeciw niemu o artykuł z przed dwóch lat w *Slovenskym Tyždenniku*, a którego autorstwa udowodnić mu nawet nie mogą.

(ek) **Dola ks. Tomanka**. W Hrusztinie na Orawie zdarzył się bardzo błahy przypadek. Księża gospodyni upiła się i dawała publiczne zgorszenie. Dlatego ks. Tomanek zamknął ją w izbie, żeby wytrzeźwiała. Sąd węgierski skazał za to ks. Tomanka na karę 14 dni więzienia, motywując wyrok tem, że pozbawił osobę wolności.

Na tego rodzaju brutalny wyrok można się było odważyć tylko na Słowaczyźnie. Liberalne prawa bez etycznej wartości swych stróżów, nie mają żadnej wartości.

Łużycka kronika.

Ks. Dr. Filip Rězak, kapelan nadworny dworu saskiego, obchodził dnia 25 listopada 25-letni jubileusz kapłański. Echo obchodu doszło do Krakowa za późno, żeby się odbić jeszcze w grudniowym zeszycie — ale wiadomość o zasługach wybitnego kapłana zawsze będzie pożądaną.

Urodzony 22 kwietnia 1859 w Wuricach pod Budziszynem, otrzymał święcenia kapłańskie 25 listopada 1884, został najpierw wikarym w Chrosticach, następnie administratorem w Kamienicy, poczem przeniósł się do Pragi, jako rektor tamtejszego seminaryum łużyckiego. W r. 1895 został spowiednikiem królewicza saskiego Jerzego, w r. 1902 kapelanem nadwornym. Studya teologiczne pielęgnował stale i systematycznie; w r. 1905 uzyskał stopień doktora teologii. W uznaniu zasług nadał mu król w r. 1908 order Albrechta z krzyżem I. klasy.

Ks. Filip Rězak pracował wiele dla narodu łużyckiego. Jeszcze podczas studyów przetłumaczył z czeskiego słynną powieść Boženy Němcowej: Babička i wydał własnym nakładem. Przekład przystosowany do stylu ludowego, był przystępny dla najszerszych warstw. Od 15 lat redaguje kalendarz dla łużyckich katolików: „Krajan“, z niemałą zasługą; działa na lud dobrym językiem i pouczającą treścią. Ułożył też łużyckie Katechizmy, mały i wielki („mały“ wyszedł już w drugiem wydaniu) i dzieje biblijne, używane w szkołach łużyckich. Dużo artykułów naukowych jego pióra znajdzie się w wydawnictwie *Matice Srbske*, a jest również od dawnych lat współpracownikiem pisma ludowego *Katholsky Posoł*. Ks. Rězak ułożył też system stenografii łużyckiej i wydał własnym nakładem.

Obecnie przygotowuje przekład łużycki Starego Testamentu. (Nowy Testament jest już wydany w przekładzie Hornika i biskupa Luščanskiego.

Ma też jubilat zasługę w tem, że siostrę królewską, księżniczkę Matyldę, nauczył dobrze po łużycku i życzliwość jej dla Łużyczan w Saksonii pozyskał.

Ks. Rězak jest zawsze niezmordowany w pracy dla swego narodu. Wakacyj swych używa na to, żeby zastępywać księży po wsiach, żeby mógł bezpośrednio z ludem nawiązywać stosunki i wpływać na niego. Toteż każde dziecko zna jego nazwisko, wymawiając je z czcią i poważaniem, na które stokrotnie zasłużył.

W dzień jubileuszu odprawił mszę św. w zamku królewskim w assystencyi duchowieństwa. Następnie odbył się bankiet w domu rzemieślników katolickich, na który przybył biskup, a stawiło się prócz drezdeńskich przyjaciół wiele duchowieństwa z bliska i z daleka i liczni wielbiciele jego. Duchowni ofiarowali mu piękny kielich.

Ks. Filip Rězak na każdym kroku swego życia okazał się prawym synem Łużyc; toteż życzymy mu z całego serca, żeby doczekał się złotych godów kapłańskich w zdrowiu i zadowoleniu, ażeby jak najdłużej mógł sam oglądać, jak wyniki jego pracy toczą się dalej i dojrzewają na pożytek sprawy łużyckiej. *Lo. Mu.*

Chorwacka kronika.

Zatarg kościelny w Istryi. Przed kilku laty wyszło rozporządzenie papieskie przeciw „śpiewowi ludowemu“ podczas Mszy św., dozwalające tylko śpiewu łacińskiego, z wyjątkiem dyecezyj polskich.

Biskupi nasi zdołali wtenczas wykazać, jak śpiew ludowy zrósł się u nas z nabożeństwem i jak wielce podnosi jego poziom. Zdaje się, że nietylko z Polski były remonstracye, bo na Morawach śpiewa lud nadal podczas sumy po swojemu; podobnież na Słowaczyźnie.

Rozporządzenie — jak to często bywa w kongregacyach rzymskich— wydano ze względu na stosunki w krajach romańskich, a zastosowano je do całego świata! (We Włoszech śpiewano nie bardzo nabożne pieśni, próbując w kościele melodyj z oper).

W Istryi komplikuje się sprawa śpiewu ludowego z obrządkiem głagolickim, o którego ścieśnianiu przez naczelną władzę kościelną donosiliśmy nieraz. Ponieważ żaden z kościołów istryjskich nie może wykazać, że sprawowano w nim służby boże w obrządku głagolickim (rzymsko-słowiańskim, św. Cyryla i Metodego) przez lat 30 bez najmniejszej przerwy, ma być ten obrządek zniesiony zupełnie w całym kraju. W wielu kościołach przyjęło się, że chociaż kapłan odprawiał sumę po łacinie, ustępy śpiewane śpiewał jednak pomimo to po starosłowiańsku; lud zaś śpiewał po chorwacku. Znajomość rytuału głagolickiego malała bowiem z pokolenia w pokolenie i lud zastępował język martwy, językiem żywym. Zdarzało się nawet, że księża, śpiewając od ołtarza, modernizowali głagolicę (której sami dokładnie nie znali) i zbliżali teksty śpiewane do dzisiejszego języka, już to słowieńskiego, już to chorwackiego. Wytworzył się w Istryi istotnie pewien zamęt pod tym względem.

Zamiast uregulować sprawę stosownie do potrzeb i obyczaju religijnego ludu i poprosić w Rzymie o specyalne rozpatrzenie stosunków swej dyecezyi — jak to zrobili inni biskupi południowej Słowiańszczyzny — postanowił biskup tryesteński N a g l (Niemiec) przeprowadzić p o d c z a s t y c h ś w i ą t B o ż e g o N a r o d z e n i a rozporządzenia rzymskie od jednego zamachu z całą bezwzględnością.

Wywołało to straszne zgorszenie i oburzenie. Lud zrazu przypuszczał, że proboszczowie dopuścili się odszczepieństwa od Kościoła! W całej Istryi było pełno skandalów. W wielu miejscach powychodzono z kościołów w pierwsze święto, a w drugie zastrejkowali organiści, dzwonnicy, kościelni, ministranci. Gdy proboszczowie sprawę wyjaśnili, uchwalały gminy odrazu pisemne protesty do biskupa. W niektórych z nich zaklinają się, że nie porzucą „starej wiary“.

Agitacya liberalna, antykościelna, wyzyskuje oczywiście należycie tę sposobność.

Druk ukończono 9 stycznia 1910 roku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Dr. F e l i k s K o n e c z n y.
Kraków. — Druk W. Korneckiego i K. Wojnara.
Pod zarządem Adolfa Nowaka.